EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 października 1938 r. Nr 29 (132)

Demokracja — wielką szansą Polski

Polityczne trzęsienie ziemi, jakie przeżyła cała Europa w ostatnich tygodniach minęło. Narody przystępują do układania bilansu wypadków, do obliczania zysków i strat, uprzątania rumowisk, zakładania fundamentów pod nowe budowle. Trzeba żyć. Trzeba żyć w nowych warunkach, jakie z dnia na dzień uległy poważnej, jeśli nie zasadniczej zmianie. W tych nowych warunkach musi żyć i Polska.

Zbyt blisko byliśmy głównego ośrodka burzy, zbyt małą jest odległość — nie tylko geograficzna — niektórych miast sudeckich od naszych, powiedzmy, Katowic, byśmy mogli pozostać nieporuszeni tym, co się stało. Na problemie Zaolzia nie kończy się bynajmniej nasze zainteresowanie tymi zdarzeniami. Nie kończy się ono również — wbrew temu, co można by sądzić, czytając prasę ozonową — na zagadnieniu granicy węgierskiej w Karpatach. Znajdują się w grze o wiele większe, o wiele bardziej zasadnicze interesy Rzeczypospolitej.

Nie ulega dzisiaj najmniejszej już wątpliwości, że znajdujemy się w chwili obecnej — politycznie rzecz biorąc — w strefie wysokiego ciśnienia, na szlaku burz. Nie znaczy to, by te burze musiały się wyładować koniecznie nad nami, nie znaczy to zwłaszcza, by już najbliższe wyładowanie miało właśnie w nas uderzyć. Istnieją tu różne możliwości. Kolejność może być rozmaitą. Ale — co do tego nie ma wątpliwości w żadnym odpowiedzialnym ugrupowaniu politycznym Polski, — faktem jest, że znajdujemy się obok ośrodka gwałtownej imperialistycznej ekspansji, i że każdej chwili musimy być przygotowani na ewentualność, że ekspansja ta spróbuje skierować się przeciwko nam. To też problemem zasadniczym, problemem decydującym polskiej rzeczywistości politycznej jesieni 1938 r. jest zagadnienie: jak przygotować, jak uzbroić państwo, jak uzbroić społeczeństwo i kraj przeciwko grożącemu niebezpieczeństwu? Jak wydobyć z narodu maksimum sił, maksimum wysiłku dla jego odparcia? Jak zabezpieczyć Rzeczypospolitej maksymalny oddźwięk i zrozumienie za granicą?

Słyszymy już sugestie znanych, aż nazbyt dobrze znanych ośrodków: demokracje skapitulowały, państwa totalne odniosły zwycięstwo. Czyż nie jest jasne, że odniosły one to zwycięstwo właśnie dzięki swej totalistycznej formie ustroju, że ustrój demokratyczny jest szkodliwy dla potęgi państwa, niebezpieczny dla przyszłości kraju? Ci, co dotąd, póki ważyły się szale, odżegnywali się jak najgoręcej od wszelkich ideologicznych bloków, ogłaszają dzisiaj niewątpliwy sukces Berlina za zwycięstwo właśnie ideologicznej zasady, za zwycięstwo totalizmu jako systemu rządzącego. Hrabyki już marzą o tym, by zostać hitlerkami. Wystarczy spojrzeć na szpalty „Kuriera Porannego", „prasy czerwonej", czy podobnej, by przekonać się, że wszyscy nasi krypto-totaliści zagrali w otwarte karty, że stoimy wobec generalnego — na razie prasowego — szturmu totalizmu polskiego.

Oczywista, cała „przełomowa" argumentacja naszych adeptów totalizmu nie wytrzymuje zupełnie krytyki. Oczywista, że w Monachium poniosły klęskę nie zasady demokracji, lecz fałszywe koncepcje i sła-

bość woli niektórych mężów stanu mocarstw demokratycznych, mężów stanu, działających w znacznym stopniu wbrew opinii publicznej własnych krajów. Oczywista, że przegrana „próba nerwów" nie przesądza bynajmniej, jak byłaby wypadła i jak, być może jeszcze wypadnie w przyszłości, próba inna, próba broni. Ludy wszędzie — i słusznie — pragną pokoju, a to pragnienie ludów ujawnia się w ustrojach demokratycznych, gdy w dyktaturach wszelki jego przejaw jest dławiony od razu brutalną siłą. Stąd demokracje zawsze są bardziej pokojowe niż totalizmy, stąd wojowniczość jest podstawową cechą wszelkich faszyzmów. Ta pokojowość demokracji może być czasami nadużyta przez oczywistych agentów wroga. Wątpimy np., czy w Niemczech p. Flandin mógłby był uprawiać bodaj przez dzień swą zdradziecką wobec kraju, defetystyczną propagandę, za którą zbiera dziś zasłużoną pogardę nawet od zwolenników premiera Daladier. Jest to niewątpliwy minus demokracji, plus państw totalistycznych. Ale trzeba pamiętać, że to, co jest plusem w rozgrywce, może stać się, nawet musi stać się, decydującym minusem w chwili rzeczywistej potrzeby. Albowiem ci, którzy musieli milczeć w czasie pokoju, niejednokrotnie zabierają głos właśnie w czasie wojny. Czyż trzeba przypominać fakt, że w ostatniej wojnie światowej załamywanie się poszczególnych jej uczestników odbywało się tym szybciej i było tym gruntowniejsze, im bliższe były te państwa ideału naszych dzisiejszych totalistów? Czy trzeba wskazywać na przykład carskiej Rosji i cesarskich Niemiec? Zdaje się nam, że w konflikcie, jaki idzie, będziemy znowu świadkami tego samego zjawiska. W każdym razie wskazuje na to fakt jakże odmiennego zachowania się ludności krajów demokratycznych i faszystowskich w czasie ostatniego kryzysu. Podczas gdy w krajach demokratycznych rezerwiści szli pod broń w skupieniu wprawdzie, ale z twardą determinacją obrony ojczystego kraju, w masach ludowych Niemiec panowała wręcz panika. Totalizm jest ustrojem, nadającym się świetnie do szantażu, ale bardzo źle do rzeczywistej wojny, rzeczywistej obrony. Bo przy obronie chodzi o rzeczywiste poświęcenie każdego obywatela dla całości, o jego poczucie odpowiedzialności za losy ojczyzny. A żadne deklamacje nie potrafią zmienić faktu, że do odpowiedzialności za losy kraju poczuwa się przede wszystkim ten, kto sam o nich współdecyduje, że ludzie wychowani w duchu „małczat i nie razsużdat" najmniej są zdolni do odczucia łączności pomiędzy ich indywidualnym losem a losem narodu. Los Austrii schuschniggowskiej, tej Austrii, którą przy pierwszym objawie niebezpieczeństwa opuścili wszyscy jej przysięgli obrońcy, oto rzeczywisty obraz siły oporu krajów totalistycznych, krajów, w których społeczeństwo pozbawione jest prawa decydowania o swoim losie. Bo przecież i ta Austria miała swoją „Vaterländische Front", swe — jakże masowe! — wiece z udziałem specjalnie w tym celu odkomenderowanych pocztowców, kolejarzy i innych urzędników państwowych, o młodzieży szkolnej nie zapominając... I ona miała swych najemników pióra, swych heroldów radiowych, swych specjalistów od walki z partyjnictwem. Dzisiaj ci z nich, którzy ocaleli i którym na to raczył pozwolić zwycięzca, uprawiają nadal swe rzemiosło na służbie Trzeciej Rzeszy.

Polska nie ma nikogo do szantażowania. Przed Polską nie stoi zadanie prowadzenia jakichkolwiek rozgrywek. Zadanie Polski jest proste i jasne: pilnować własnego bezpieczeństwa i być gotową do własnej obrony. Dlatego Polsce nie trzeba totalistycznych osłon, mających ukrywać rzeczywiste nastroje kraju. Dlatego Polsce nie trzeba totalistycznych pozorów siły. Polsce trzeba siły rzeczywistej. A tę rzeczywistą siłę może jej dać jedynie spojenie z Rzecząpospolitą 35 mil. jej obywateli. Tę rzeczywistą siłę może jej jedynie dać poczucie odpowiedzialności za Polskę podstawowych warstw narodu: chłopów, robotników i pracowników umysłowych. Tak więc jedynie przez demokrację, która zwiąże rzesze ludowe z państwem, jedynie przez demokrację, w której te rzesze poczują się gospodarzami ojczyzny, może Polska znaleźć rzeczywistą siłę. Nie totalizm lecz pełna demokratyzacja kraju, lecz totalna zmiana systemu jest w tej chwili naczelną wytyczną polskiej państwowej racji stanu.

Analiza naszego położenia międzynarodowego potwierdza jeszcze to, co powiedzieliśmy wyżej. Więzy, łączące nas z zachodem, bardzo rozluźnione od lat, tracą dziś niemal zupełnie na znaczeniu. Nie chodzi tu tylko o nastroje we Francji, o takie czy inne artykuły pism francuskich. Chodzi o to, czy Francja w chwili obecnej będzie mogła i będzie chciała dochować postanowień sojuszu. Z Anglią nigdy nie wiązały nas żadne formalne traktaty. Trudno przypuszczać, by doszło do nich dzisiaj, gdy Anglia Chamberlaina jednoznacznie pragnie wycofać się z kontynentu. Nie wierzymy, by to jej pragnienie dało się zrealizować, jesteśmy przekonani, że niedługo we Francji zwycięży pogląd, iż likwidując swe przyjaźni na wschodzie Europy, podrywa ona własne mocarstwowe znaczenie. Ale to jest sprawa przyszłości. Obecnie w październiku 1938 r. trudno mówić o oparciu o mocarstwa zachodu.

Wysuwa się ostatnio nową receptę: oś Rzym — Budapeszt — Warszawa, hamująca drogę dalszej ekspansji niemieckiej. Ciekawe, że tego rodzaju koncepcjom ulegają także niektóre koła zbliżone do Frontu Morges, a zdarzyło się nam słyszeć zdania idące po tej linii nawet z ust niewątpliwych demokratów. A przecież koncepcja ta — to złudzenie. Trudno choć na chwilę przypuścić, że Włochy mogłyby się angażować w problemy, nie mówimy już Wschodu Europy, ale chociażby tylko basenu naddunajskiego. W „osi", podobnie jak w każdym szanującym się kartelu, istnieje ścisły rozdział kompetencji, zależny zresztą od sił i interesów uczestników. „Lebensraum" Włoch, to Morze Śródziemne. Tutaj — i tylko tutaj — Włochy toczą swą walkę o panowanie. Z basenu naddunajskiego zrezygnowały one już dawno. Zrezygnowały w tym dniu, kiedy włoskie straże graniczne na przełęczy Brenneru powitały przyjaźnie pierwsze oddziały wojsk niemieckich. Oddając Wiedeń, klucz Dunaju Niemcom, Rzym zrezygnował de facto z basenu naddunajskiego. Odtąd cała jego działalność na tym terenie sprowadza się do jednego: zabezpieczenia tam swych własnych, najbardziej bezpośrednich interesów i uzyskania dla swych wiernych klientów jak

---

Demokracja polska jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma za sobą tradycję jedną z najbogatszych w Europie, że może czerpać z bogatych doświadczeń przeszłości wykuwanej na własnym gruncie, zadając kłam fałszerzom, bredzącym o obcych wzorach.

najkorzystniejszych warunków przy przejściu na niemiecką służbę. Mekką totalizmu dla krajów leżących na północ od Alp, jest i pozostanie Berlin, a nie Rzym.

Czy znaczy to, że Polska, przeciwstawiając się „Drang nach Osten" nie może już liczyć na żadnych sojuszników? Wydaje się nam, że sformułowanie takie byłoby mocno przedwczesne. Odnosimy się z jak największym sceptycyzmem do koncepcyj szukania dla nas oparcia w wielkich feodałach węgierskich, czy w prawym skrzydle agrariuszy czeskich, śpieszącym już zaofiarować swe usługi Berlinowi. Stanowczo, tam, gdzie chodzi o „walkę z marksizmem", Berlin zawsze nas przelicytuje, choćby dlatego, że jest on silniejszy, a pewna kategoria ludzi lubi być zawsze po stronie silniejszych batalionów. Ale p. Beran to nie lud czeski, podobnie, jak p. Stojadinowicz to nie lud jugosłowiański, jak grafowie węgierscy nie reprezentują ludu madziarskiego. Na ekspansji niemieckiej na ziemie naddunajskie zarabiać będzie garść wielkich obszarników, garść fabrykantów i bankierów wszelkich wyznań, garść „narodowej" inteligencji, która się zaprzeda obcej potencji. Ale koszta tej ekspansji płacić będzie kraj i lud. Bo ekspansja ta będzie oznaczała narzucanie temu krajowi niemieckiej tandety przemysłowej, wyrabianej z „ersatzów", zahamowanie industrializacji krajów uzależnionych. Będzie oznaczała nowe nieznośne ciężary zbrojeniowe, nakładane dla utrzymania armii, służącej nie do obrony kraju przed obcą przemocą, ale do chronienia obcej przewagi przed buntem własnego narodu. Wszystko to będzie rodziło sprzeciw, będzie rodziło opór, będzie rodziło bunt.

Położenie tych krajów jest pod wieloma względami podobne do naszego. I tam mamy do czynienia z przewagą wielkiej własności rolnej, stanowiącej najpewniejsze oparcie dla każdego obcego wpływu. I tam mamy straszliwą nędzę wsi. I tam mamy niedorozwój przemysłu, mamy, leżące odłogiem, źródła bogactwa krajowego. I tam mamy bezwzględne rządy kapitału finansowego, dławiące rozwój gospodarczy kraju. Hegemonia niemiecka nic tu nie zmieni, zaostrzy tylko, uwydatni mocniej niż kiedykolwiek to co jest, nada mu jaskrawych barw narodowego ucisku. Niedługo już ludy basenu naddunajskiego zaczną szukać drogowskazów, wiodących z jarzma obcego imperializmu ku dobrobytowi i wolności. Takim drogowskazem mogłaby stać się dla nich Polska demokratyczna.

My niedawno dopiero wyszliśmy z tego stanu, w jakim jeszcze dzisiaj znajdują się te kraje. Mamy z nimi jeszcze wiele cech wspólnych. Ale jesteśmy liczniejsi, mamy lepiej od nich — choć także jeszcze niewystarczająco — rozwinięty aparat produkcyjny, mamy wyżej uświadomione warstwy ludowe, mamy liczniejszą od nich inteligencję i warstwę robotniczą. Możemy pokusić się o to, do czego one dopiero zaczną dążyć: o świadome budownictwo własnego, demokratycznego domu. Polska totalistyczna byłaby w oczach ludów naddunajskich zawsze tylko mniej lub więcej udaną kopią Berlina. Wymyślimy, być może, jakieś nowe klauzule do ustaw norymberskich. Znajdziemy nową nazwę dla obozów koncentracyjnych. Tego rodzaju „twórczość oryginalna" nie potrafi skompensować niewątpliwej przewagi praźródła wszelkich ruchów „narodowych" w naszej części kontynentu, nie skompensuje przewagi nazistowskiego Berlina. Warszawa totalistyczna, urządzona według berlińskiego modelu, byłaby tylko satelitą — i to niezbyt świetnym — totalistycznego Berlina. Warszawa demokratyczna może się stać wzorem i przykładem oporu dla wszystkich ludów Europy środkowej, zagrożonych berlińską ekspansją. O Warszawie demokratycznej, któraby potrafiła oddać ziemię latyfundystów tym, którzy „żywią i bronią", o Warszawie, która zabezpieczyłaby prawa robotnicze, która poskromiłaby wyzysk kartelowy, o takiej Warszawie mówiono by, taka Warszawa może znaleźć sympatię i poparcie w puszcie węgierskiej i na stokach Bałkanu, w zagłębiach naftowych Rumunii i w litewskich lasach. A poparcia ludów i ich sympatii lekceważyć nie wolno, bo może ono w chwili próby mieć dla nas większe znaczenie realne, niż takie czy inne obietnice despotycznych, obcych własnemu narodowi, rządów.

Inna byłaby wtedy również nasza pozycja wobec Zachodu. Bo, kiedy nadejdzie nieunikniona chwila otrzeźwienia, kiedy Zachód zrozumie, że chodzi właśnie o to dążenie do hegemonii, przeciw której, nawet zdaniem p. Chamberlaina, Zachód musi się bronić — wtedy dla Paryża i Londynu będzie sprawą pierwszorzędnego znaczenia, że na Wschodzie Europy istnieje jeszcze jedno państwo, przeciwstawiające się niemieckim aspiracjom do hegemonii. Wtedy nasz, podyktowany tradycją, wspólnymi interesami i starymi sympatiami sojusz z demokracjami Zachodu będzie mógł odrodzić się na nowo bez nieporozumień i tarć.

Powtarzamy: widmo Polski totalistycznej to widmo prowincji Mitteleuropy, prowincji zależnej od humorów Berlina. Polska jako państwo demokratyczne może znaleźć we własnym ludzie dość sił dla obrony przed niemiecką ekspansją, może stać się wzorem walki wyzwoleńczej ludów Europy Południowo-Wschodniej i Środkowej. Padły niedawno słowa o tym, że Polska zdecydowana jest iść do wielkości. Jedyna droga do rzeczywistej wielkości Polski to droga demokracji.

R. E. WERNER

Wacław Nałkowski o Stanisławie Brzozowskim

Obecnie daje się w naszym życiu umysłowym wyraźnie stwierdzić renesans Stanisława Brzozowskiego. Ożywienie wokół tej wybitnej postaci pisarskiej wzmogło się zwłaszcza po wydaniu zbiorowym dzieł autora „Płomieni" i wyraża się w dyskusjach, rozprawach, pracach monograficznych i życiorysach. Raz po raz powstają spory o tę lub inną postawę filozoficzną i społeczną St. Brzozowskiego, raz po raz podejmowane są próby anektowania go bądź na rzecz demokracji i socjalizmu, bądź na rzecz reakcji i nacjonalizmu. Ostatnio na łamach czasopisma „Albo — Albo" próbowano nawet ustalić, że St. Brzozowski był i jest przedstawicielem myśli socjalistycznej, a nawet marksizmu.

Również odczuć się daje renesans Wacława Nałkowskiego, znakomitego geografa, twórcy w nauce, a także nie mniej znakomitego publicysty, który współcześnie z Brzozowskim silnie oddziaływał na życie. Na progu naszego stulecia Wacław Nałkowski był sumieniem ruchu postępowego, a jednocześnie ostoją moralną dla całego walczącego pokolenia. Te dwie niepospolite postacie zeszły do grobu niemal

jednocześnie, w 1911 r. W tece pośmiertnej, oprócz rzeczy specjalnych, geograficznych, pozostały po autorze „Jednostki i ogółu“ pomniejsze prace publicystyczne i krytyczne, ale pozostała także jedna, zakrojona na większą skalę i mająca znaczenie dla sporów dzisiejszych, mianowicie krytyka „Legendy Młodej Polski“.

Niestety przygotowania do tej książki, posunięte dość daleko, przerwała niespodziewanie śmierć Wacława Nałkowskiego. Urwał się tok myśli, wyłożonych w obszernych notatkach. Z pożółkłych kartek, pisanych nieczytelnie ołówkiem, wyłania się jednakże wyraźny zarys pracy i występuje mocne uzasadnienie tez i argumentacji. Te rzuty krytyczne nieugiętego szermierza postępu i przenikliwego badacza nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że Wacław Nałkowski ustosunkował się do „Legendy Młodej Polski“ zdecydowanie negatywnie, zoczywszy w niej zawoalowaną treść reakcyjną.

W jednym z najbliższych zeszytów „Epoki“ zaczniemy drukować fragmenty krytyki „Legendy“, poprzedzając je wizerunkiem Wacława Nałkowskiego.

Z DNIA NA DZIEŃ

KARYGODNE MILCZENIE.

Wszystkie organy mroku milczą jak zaklęte po zbrodni łódzkiej. Cóż je obchodzi, że krwią zbryzgana została oświata polska, że ugodzono w ludzi, których jedyną winą było, iż nauczali i wychowywali dzieci polskie i byli ofiarnymi pracownikami kultury!

Dziś milczą te same organy, które specjalizowały się w szczuciu przeciwko związkowemu nauczycielstwu, które nie omieszkały rozgłaszać i rozwłóczać najbardziej bzdurnych plotek, najbardziej nikczemnych oszczerstw i potwarzy, a nie pomijały żadnej sposobności, żeby otumaniać ogół czytelniczy i obudzać w nim zawziętość przeciw postępowemu nauczycielstwu.

Cała ta ciemnogrodzka prasa, miotając się i bredząc jak w malignie o nauczycielstwie i ideałach wychowawczych, rościła sobie na tym polu tytuły do orędownictwa oświaty i kultury.

Ubrał się djabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Nie może więc dziś wykrztusić ani jednego słowa potępienia zbrodni, nie może się odgrodzić z pasją i odrazą od nędznych spiskowców ciemnoty czy też wysłanników obcych, ciemnych sił.

W poprzednim zeszycie „Epoki“ przytoczyliśmy za **„Ruchem Pracowniczym“** uchwałę w tym przedmiocie Unii Związków Pracowniczych, poniżej dajemy za **„Głosem Nauczycielskim“** wyjątki z uchwały Zarządu Głównego Z. N. P.:

„Ostatni Zjazd Delegatów przeanalizował pracę Zarządu i wypadki minionych trzech lat, wyznaczył też program działalności na najbliższe dwulecie. W sposób całkowicie jasny i stanowczy Zjazd Delegatów jeszcze raz podkreślił, że nie tylko nie chcemy ale wprost wykluczamy jakąkolwiek działalność partyjno - polityczną Związku, że i nadal będziemy robili tylko to, cośmy robili zawsze dotychczas, mianowicie będziemy uprawiali politykę zawodową w kierunku podniesienia wartości i znaczenia naszego zawodu, szkoły i kultury w Polsce. Będziemy również współpracowali z tymi wszystkimi, którzy rzetelną pracą zmierzają do Polski wielkiej, silnej, demokratycznej“.

„Łódzka bomba ostatecznie rozkonspirowała rzecz niesłychanie groźną. Oto ci, „nieznani sprawcy“ zamachu prawie przez trzy lata wycierali sobie usta naszym imieniem i robili z nas wrogów państwa, ażeby móc samym, niewiadomo na czyj rozkaz i w czyim interesie, działać właśnie na szkodę Państwa. Dalecy jesteśmy od rzucania oskarżeń nawet pod adresem naszych wrogów, ale łódzka bomba może mieć tylko taką interpretację.

Przenikające do Polski od jakiegoś czasu prądy totalistczne zyskały grupę agentów, usiłujących szczepić na polskim gruncie całkowicie obcą nam ideologię i obce formy ustrojowe. Na przeszkodzie tym zamierzeniom stoi nie tylko istniejący w Polsce porządek prawny, ale i demokratyczne grupy społeczne, a wśród nich Związek Nauczycielstwa Polskiego. Walka ze Związkiem miała więc na celu nie tylko usunięcie Związku jako przeszkody, ale przede wszystkim odwrócenie uwagi społeczeństwa, a nawet czynników rządowych od tego, że ktoś podgryza korzenie egzystencji Państwa.

Od 20 września sytuacja jest dla nas całkowicie jasna. Czynniki anarchizujące państwo przebrały miarę i zdemaskowały się. Stało się to kosztem życia niewinnego człowieka i ran kilku innych naszych kolegów. Na tym musi być koniec tej tragikomedii, którą w postaci walki ze Związkiem tolerowało społeczeństwo przez trzy lata, nie występując stanowczo przeciw rozwydrzonym elementom. Rząd, jako czynnik porządku w Państwie musi zdecydowanie wystąpić przeciw wszelkiej anarchii. Spodziewamy się, że to nastąpi, bo Pan Minister W. R. i O. P. oficjalnie napiętnował zamach łódzki jako przejaw działalności na szkodę Państwa“.

„Związek Nauczycielstwa Polskiego okrył się żałobą z powodu tragicznej śmierci ś. p. kol. Józefa Łuczyńskiego. Jest on niewinną ofiarą zbrodniczej walki z naszą organizacją.

Niech wiedzą nasi wrogowie, że nie jedna bomba, ale tysiąc bomb, nie jedno życie ludzkie, ale tysiące krwawych ofiar nie złamią ani naszej postawy, ani naszej wiary w nasze wielkie posłannictwo!

Tak jest, wychowujemy i wychowywać będziemy młode pokolenia dla Polski Wolnej, Sprawiedliwej i Demokratycznej!

Kultura duchowa i materialna narodu oraz gotowość obrony granic Państwa jest i będzie naszym drogowskazem!“.

„RODOWE“ NAZWISKA.

Jest w Warszawie p. Jerzy Braun, żarliwy zwolennik filozofii Hoene-Wrońskiego, redaktor „Zetu“ i jest w Łodzi literat, podpisujący swoje utwory pseudonimem: Mieczysław Braun. Pierwszy jest aryjczykiem, drugi — semitą. Autentyczny, pełnej, nieskażonej krwi, p. Braun — znosi to — jak dotąd przynajmniej — spokojnie i obojętnie. Natomiast nie zniósł tej zniewagi pół krwi aryjskiej redaktor „Prosto z mostu“, wezwał więc redaktora „Zetu“ do zaprotestowania przeciw podszywaniu się Żyda pod jego „rodowe nazwisko“.

Cóż! Braun jak Braun. Bywają „lepsi“ Braunowie i bywają „gorsi“, tak samo,

jak w myśl paragrafu aryjskiego bywają „lepsi" Piaseccy i „skażeni". Wystarczy przejrzeć katalog sieci telefonicznej, ażeby się przekonać, ilu tam tkwi Braunów: „tych" i „tamtych".

Żałować należy, że rodowe nazwisko Braunów nie jest tak przez tradycję strzeżone, jak np. nazwiska rodów książąt Sanguszków, Radziwiłłów, Czartoryskich, Lubomirskich.

Każdy myślący Polak z zjeżonym włosem waży dziś pytanie: co się stanie, jeżeli Żydzi Braunowie, głusi na protesty, nadal nosić będą dumnie swe nazwisko, dziś tak opromienione myślą filozoficzną Jerzego Brauna i poezją Mieczysława Brauna? Panu redaktorowi „Zetu" wtedy pozostanie chyba tylko jedno: zmienić nazwisko. Ale na jakie? Najlepsze byłoby: Piasecki. Głośne i też opromienione. Ale ostrożnie: nie z tych „lepszych" Piaseckich ze „Srebrnych pól".

„Goniec Warszawski" poucza nas o tym najgruntowniej:

„Przede wszystkim w obecnym momencie zaczyna przychodzić do głosu młode pokolenie, wychowane już w szkole czeskiej i przesiąknięte czeskim nacjonalizmem. W opinii zaznacza się coraz mocniej — zwrot w prawo. Pod jej naciskiem akcja władz zaczyna kierować się również w tym kierunku. Żywioły lewicowe, zwłaszcza socjalistyczne — tracą grunt w opinii. Widać to w nastrojach do Żydów..." itd. itd.

Nie wiemy, nawiasem mówiąc, jakiego pochodzenia jest autor powyższej notatki. Zwrot: „w nastrojach **do Żydów**" otwiera pole dla ciekawych domysłów. Jeżeli autor jest t. zw. poszczególną jednostką pochodzenia żydowskiego, to trzeba mu przyznać, że umiał się obronić przed wynaradawiającą robotą kultury polskiej, i nie uległ wymyślnym rygorom trudnego, ach, jakże trudnego! języka polskiego.

Nie w tym jednak rzecz. Proszę raczej zauważyć, jak to w pojęciach naszych „narodowców" z reakcyjnej popołudniówki stara, odmłodzona błyskawicznie, Targowica czeska występuje jako „młode pokolenie... przesiąknięte czeskim nacjonalizmem". Nic nam o tym nie wiadomo, żeby czescy reakcjoniści i faszyści, pp. Beran, Chvalkovsky, Strzibrny czy Gajda wychowani byli „już w szkole czeskiej". Zdaje się, że — jeszcze w austriackiej (z wyjątkiem p. Gajdy, którego wykształcenie jest dla nas nader wątpliwe). Natomiast zgadzamy się z „Gońcem" całkowicie co do tego, że ludzie, którzy sprzedają dziś swą ojczyznę Hitlerowi, są przesiąknięci czeskim(?) nacjonalizmem. To nie ulega przecież żadnej wątpliwości!

Rycerskie szyderstwa

Korespondent „Kuriera Warszawskiego", towarzyszący wojskom niemieckim, które okupują Sudety, pisze w jednym z swych listów: „Kilka, kilkanaście kilometrów od dawnej granicy czesko-niemieckiej znajdują się na stokach wysokich wzgórz fortyfikacje czeskie, ukryte wśród gęstwiny leśnej. Opuszczone zostały już dawno przez załogę i oddane bez walki tym, przeciwko którym zostały wybudowane. Zatrzymujemy się w „marszu" na chwilę i wchodzimy w towarzystwie niemieckich oficerów, by obejrzeć je od wewnątrz. Są to masywne, ukryte częściowo w ziemi, betonowe schrony z otworami na karabiny maszynowe, skierowanymi w dół, w dolinę. Oficerowie niemieccy potrząsają wpierw z pewnym podziwem głową i tłomaczą, że w tych warunkach terenowych fortyfikacje takie stawiać by mogły długo opór przeważającym nawet siłom. A potem następuje dosadne naigrawanie się z Czechów, którzy tyle wysiłków włożyli w tę bezcelową, jak się okazuje, budowę".

Każdy przyzna, że naigrawanie się triumfujących (bez walki!) oficerów skierowane jest pod zgoła niewłaściwym adresem. Na prawdziwe szyderstwo zasługują chyba nie Czesi, ale ci, którzy w ciągu dwudziestu lat obiecywali im pełne poparcie moralne i materialne, by w godzinie próby pozostawić ich losowi. Koszty tego, bezprzykładnego w dziejach postępku, zapłaciła już i zapłaci jeszcze Czechosłowacja. Ale stokroć większe koszty spadną niebawem na tych, którzy dziś widzą wielką wygraną w transakcji monachijskiej, tranzakcji dokonanej na żywym ciele niepodległego państwa, członka Ligi Narodów, a przede wszystkim własnego sprzymierzeńca! Mowa Hitlera w Saarbruecken jest tego niedwuznaczną zapowiedzią. Wódz Trzeciej Rzeszy uważa, że można sobie bardzo wiele pozwolić wobec tych, którzy — z własną szkodą moralną i materialną — łamią przyjęte w swoim własnym interesie zobowiązania, kompromitując państwa przez siebie reprezentowane, podrywając ich autorytet, plamiąc ich honor. Dotąd Hitler nie pomylił się w ocenie tych czcigodnych mężów. I oni — nie Czesi — zasługują dziś na szyderstwo. Czy *tylko* na szyderstwo?

Nauka nie poszła w las

Zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że okrojona Czechosłowacja wchodzi w orbitę niepodzielnych, przemożnych wpływów niemieckich. Sprawa sudecka, „wyzwolenie" tamtejszych Niemców (przy czym szermowano obłudnie demokratyczną zasadą samostanowienia), to były tylko dogodne propagandowo pozory dla jednego celu: rozbioru i podporządkowania Czechosłowacji nowemu imperium wielkoniemieckiemu. I to się Hitlerowi przy skwapliwej pomocy pp. Chamberlaina i Halifaxa, Daladiera i Bonneta udało. Wymarzona przez p. Studnickiego Mitteleuropa staje się rzeczywistością.

Nie wystarczy oczywiście sam rozbiór republiki. Demokracja czechosłowacka, obóz — jak wszędzie — prawdziwie niepodległościowy i rzeczywiście patriotyczny, jest najpoważniejszą przeszkodą na drodze politycznego i gospodarczego zglajchszaltowania kraju. Jak długo w Pradze rządzi demokracja, oparta o cały naród ,tak długo mowy nie ma o całkowitym zrealizowaniu imperialistycznych planów Trzeciej Rzeszy. Do tego trzeba czeskiej Targowicy, która by przy obcej pomocy umiała narzucić narodowi obcą hegemonię.

Któż nadaje się do tego szlachetnego celu najlepiej? Kto potrafi wydać własną ojczyznę w zachłanne ręce obcej potencji? Kto umie dzieło zdrady narodowej upozorować hurra - patriotyczną, szowinistyczną frazeologią?

„W PAŃSTWIE POGAŃSKIEJ SWASTYKI".

Pod tym tytułem organ ks. ks. Jezuitów „Wiara i Życie", podaje ciekawe wiadomości o „stosunkach" między Kościołem katolickim, a hitleryzmem na terenie wcielonej do Niemiec Austrii:

„Rokowania kardynała Innitzera z władzami narodowo-socjalistycznymi zostały zerwane. Korespondentowi Reutera oświadczył jeden z dostojników kościelnych, że Kościół katolicki w Austrii uczynił wszystko, co było w jego mocy, byle tylko osiągnąć porozumienie z władzami. Te usiłowania jednak spełzły na niczym. Prawo małżeńskie, konfiskata majątku kościelnego i prześladowania szkół katolickich stoją na przeszkodzie porozumieniu. Kardynał Innitzer oświadczył, że Kościół nie uznaje organizacji „Związek dla pokoju religijnego", do którego mieli

by należeć księża, okazujący sympatię dla narodowego socjalizmu".

A przecież kard. Innitzer był, jak pamiętamy, tym, który z prawdziwym entuzjazmem (zdaje się, szczerym) powitał panowanie hitlerowskie na ziemiach austriackich. Z pięknym hasłem „Heil Hitler" na ustach, wyciągnął prawicę do sprowadzonych z Rzeszy gauleiterów, zaaranżował wiernopoddańczy list episkopatu do p. Buerckela, list, który wywołał powszechny niesmak nawet w najbardziej antydemokratycznie nastrojonych kołach katolickich, kościelnych i świeckich. Mówiono nawet o schizmie. Bo polityka austriackiego purpurata bardzo różniła się od wskazań Watykanu. Później rozeszła się, zdementowana wprawdzie, ale znamionująca trudności tej prohitlerowskiej polityki kardynała, pogłoska o jego dymisji. A niedawno dowiedzieliśmy się z prasy codziennej, że ks. Innitzer przemówił publicznie, potępiając wrogą wobec Kościoła i katolików akcję hitlerowską na terenie „wyzwolonej" Austrii.

I cóż się dzieje? Młodzież hitlerowska urządza burzliwą demonstrację przeciw kardynałowi, siedziba jego zostaje zdemolowana — krótkotrwała sielanka kończy się.

Wypada tu przypomnieć, że kardynał austriacki jest przedstawicielem najbardziej wrogiego demokracji odłamu hierarchii kościelnej, że on właśnie pobłogosławił krwawą rozprawę Dollfussa z austriackim ruchem robotniczym, ostoją demokratycznej republiki, że właśnie on patronował czteroletnim rządom klerofaszyzmu, które utorowały drogę hitleryzmowi. Ks. Innitzer w swych poglądach bardzo różni się od stanowiska kardynałów francuskich, Verdier'a i Baudrillart'a—mimo wszystko jednak nie umiał znaleźć żadnego modus vivendi z brunatnym reżimem. A uczynił w tym kierunku wszystko, nie bacząc na ostrzeżenia najwyższych władz kościelnych, nauczonych doświadczeniem niemieckim. Praktyka reżimu hitlerowskiego na gruncie austriackim uniemożliwia poprostu wszelką współpracę między katolicyzmem a rządami gauleitera Buerckela. Oto, co czytamy we wspomnianym już organie jezuickim:

„Z Salzburga donoszą o zamknięciu w okręgach Pinz, w Zell am See i w Lendzie wszystkich szkół, w których wykładowcami byli księża lub zakonnice. Podobny los spotkał szkoły w miejscowościach: Alm, Piesendorf, Utendorf, Bramberg i Bruck. Równocześnie prasa narodowo-socjalistyczna rozpuściła oszczerczą plotkę, jakoby wyższe władze kościelne uprawiały w tych okolicach „szkolną politykę klerykalną".

NAD BRUNATNYM DUNAJEM

Dla ilustracji tej „współpracy" katolicko-hitlerowskiej w Austrii przytoczmy jeszcze za hitlerochwalczym „Gońcem Warszawskim" opis „pacyfikacji", którą dzielni wskrzesiciele Wotana urządzili wiedeńskiemu kardynałowi:

„Była godzina 20.30 wieczorem, gdy w sobotę tłum złożony z około ośmiu tysięcy hitlerowców, obległ pałac kardynała Innitzera, tłukąc szyby i wyłamując bramę wejściową. Jakiś młodzieniec zdołał się przedostać do okna na wysokim parterze i po wybiciu szyb oraz wyłamaniu okiennic wtargnął do środka. Za nim ruszyli inni. Kolejno jęły się otwierać okna w pałacu arcybiskupim i przez okna te zaczęto wyrzucać meble, obrazy, kandelabry i całe w ogóle urządzenie pałacu. Tłum wzrastał z każdą minutą. Około godziny 21-ej meble powyrzucane z pałacu arcybiskupiego ułożono w wielki stos przed pałacem. Znajdowało się tam wśród rzeczy wyrzuconych wiele cennych dzieł sztuki. Wśród okrzyków: *„Kardynała Innitzera do obozu koncentracyjnego w Dachau", „Śmierć księżom"* itd. zapalono stos, a wysoki płomień oświetlił cały pałac i katedrę św. Stefana. Już od pierwszych chwil napadu na pałac arcybiskupi na przyległych ulicach widać było oddziały policji, a nawet wojska. Nie podjęto jednak ze strony władz żadnych prób przeszkodzenia napadowi na dom kardynała". Dopiero wtedy, gdy stos spłonął już i pałac był doszczętnie zdemolowany — rozproszono bohaterską młodzież. „Wśród przedmiotów rzuconych na stos jeszcze przed przybyciem policji, zauważono wielki krucyfiks i obraz Matki Boskiej".

Wiedeń przez lat z górą piętnaście rządzony był przez socjalistów. Socjaldemokratyczna organizacja w Austrii liczyła w chwili rozwiązania przez klerofaszym 804 tysiące członków, nastrojonych wyraźnie antyklerykalnie i wolnomyślnie. Ale przez cały ten czas nie zdarzył się nigdy wypadek napastowania księdza, obrażania uczuć religijnych ludności katolickiej — nie mówiąc o takim barbarzyństwie, jak wyżej opisane! Na to trzeba było dopiero zduszenia „marksistowsko-żydowskiego" bezbożnictwa, w czym „spacyfikowany" obecnie kardynał położył w swoim czasie tak wielkie zasługi, inaugurując i pokrywając swym autorytetem tak przez naszych hitlerochwalców zalecany system „katolickiego totalizmu", torującego nieuchronnie drogę innemu totalizmowi: neopogańskiemu. Katolicka Austria zaznaje już w całej pełni dobrodziejstw hitlerowskiego „wyzwolenia".

Teraz — kolej na Sudety.

RZECZY NIEWSPÓŁMIERNE

Od 1919 do 1922 r. Benito Mussolini stał na czele „rewolucyjnego" pisma „Popolo d'Italia". Obecnie biblioteki publiczne we Włoszech otrzymały od rządu rozkaz zamknięcia pod klucz wszystkich roczników tego pisma i niewypożyczania ich nikomu.

Rozumne zarządzenie, które świadczy, że dyktator Włoch zachował poczucie kontrastu. Bo któż pogodziłby zjawę redaktora, wyłaniającego się z foliałów „Popolo d'Italia" z żywym wizerunkiem Il Duce. Kto zdołałby stopić w jednym odlewie i osadzić na jednym piedestale płomiennego trybuna rewolucji faszystowskiej, dla którego ówczesne rządy liberałów w zmurszałym ustroju kapitalistycznym były za mało radykalne, — z dzisiejszym wodzem czarnych koszul, dla którego w tym samym ustroju wszystko co trąci liberalizmem jest za bardzo radykalne.

Więc lepiej zamknąć i ukryć widmo przeszłości w cieniu i zaciszu bibliotek, a poznawanie go w świetle dnia pozostawić przyszłym dziejopisom.

KONGRES LUDOWCÓW

Dnia 9 b. m. odbył się w Warszawie nadzwyczajny kongres Stronnictwa Ludowego. Centralny Komitet Wykonawczy PPS skierował do zjazdu chłopskiego następujące powitanie:

„Szanowni Obywatele! Witamy Wasz Kongres Nadzwyczajny w imieniu Polskiej Partji Socjalistycznej, w imieniu całego naszego ruchu. Nie wątpimy, że decyzje Wasze, będąc wyrazem woli szerokich mas ludowych, potwierdzą zarazem ponownie —— wbrew wszelkim intrygom — że nic nie rozbije wspólnoty walki dwóch wielkich obozów Polski Pracującej — obozu ludowego i obozu Socjalizmu polskiego — walki o demokrację w Polsce. Pozdrawiamy Wasz Kongres słowem, które jest symoblem walki o demokrację — słowem: „Wolność". W imieniu CKW PPS list podpisali przewodniczący T. Arciszewski i sekretarz generalny, K. Pużak.

Kongres zatwierdził uchwałę Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego, postanawiającą wstrzymanie się chłopów od udziału w wyborach parlamentarnych, a wzięcie udziału w wyborach samorządowych.

Trybuna z której padły żądania społeczeństwa

W pierwszych dniach października odbył się w Warszawie Kongres Dziecka zainicjowany przez Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską, a więc przez instytucję społeczną, a poparty przez czynniki oficjalne. Potworzyły się Komitety Wojewódzkie Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka, zgłosiło się do udziału przeszło sto organizacyj i niezależnie od nich wielu pedagogów, lekarzy, działaczów społecznych itp. Z przedstawicieli instytucyj złożył się Komitet, który ma trwać i po kongresie. Przekazano mu wszystkie wnioski i zobowiązano do zorganizowania w czasie bliżej nieokreślonym drugiego kongresu. Nadto urządzono wystawę „Dziecko w Polsce" przy ul. Nowogrodzkiej 74-76, która otwarta będzie przez cały miesiąc październik.

Kongres zgromadził i musiał zebrać ludzi najrozmaitszych światopoglądów. Obrady w sali Romy zdawały się przesądzać charakter religijno - klerykalny. Ale przebieg kongresu wykazał, że sfery prawicowo-klerykalne nie stanowiły większości. Widać to było i ze sposobu, w jaki reagowała sala i z rezultatów głosowania wniosków w komisjach. A więc projekt prof. St. Gołąba o równouprawnieniu dzieci ślubnych z nieślubnymi przeszedł 73 głosami na 67, pomimo wyraźnego zmobilizowania świata zachowawczego. Do ogółu bowiem zebranych działaczy warszawskich i prowincjonalnych daleko bardziej przemawiały fakty, poruszone przez ludzi zbliska dotykających się rany społecznej jaką jest 57.000 podrzutków w Polsce rocznie, niż wszelkie frazesy o obronie zacnej i bogobojnej rodziny katolickiej, która mogłaby być narażona na zetknięcie z szumowinami przez przygarnięcie dziecka naturalnego nieskazitelnego ojca rodziny. Spokojne i rzeczowe przemówienie pana Starczewskiego, dyrektora domu wychowawczego im. Boduena, przekonywało faktami, gorące słowa pań Krahelskiej, Siemieńskiej, adwokatki Westerskiej, wreszcie płomienny apel dra Dembińskiego do najgłębiej etycznych uczuć zebranych zdobyły dla sprawy sumienia ludzkie. Nawet przedstawiciele prawicy uznali, że prawo powinno położyć kres nieodpowiedzialności mężczyzn i dlatego przeszedł wniosek o konieczności dochodzenia ojcostwa.

W Komisji I: „Dziecko i człowiek dorosły" po doskonałym referacie pani Bobrowskiej: „Dziecko i kara" wywiązała się dyskusja na temat bicia dzieci. Mówcy prawicowi z różnych motywów byli za karą cielesną, za karą w ogóle i gdy podany został wniosek o uczczeniu 20-lecia niepodległości przez amnestię dla młodocianych, głosowali przeciw, ale znów przegrali. Upadł też ich wniosek, aby dzieci polskie mógł uczyć tylko Polak-katolik. Referat dr. A. Heilperna, który osłabienie więzi rodzinnej m. in. przypisywał pracy zarobkowej i społecznej matek, wywołał świetną replikę pani Siemieńskiej, gorąco oklaskiwanej. Stanowisko głównego mówcy, pana Babickiego, że dodatnią komórką społeczną jest tylko dobra rodzina, że złej należy odbierać prawo i możność demoralizowania dziecka, zostało zaakceptowane ogólnie i wypływało w różnych przemówieniach w różnych komisjach. Szkoda jednak, że w Komisji II: „Dziecko w rodzinie" nie głosowano wniosków i że wskutek tego nie uprawomocnił się np. wniosek p. J. Szymańskiego, że ojca nałogowego pijaka sąd powinien ubezwłasnowolniać i oddawać do zakładu leczniczego.

Podkreśliliśmy tych kilka momentów charakterystycznych, aby stwierdzić, że ogół obradujących w Romie ujmował nowocześnie sprawy warunków i wychowania dziecka. Stwierdzenie to uważam za niezmiernie ważne, gdyż żywioły prawicowe robią u nas tyle hałasu w prasie i w życiu, że czasami się wydaje, iż są one w Polsce panujące. Przebieg Kongresu nie potwierdza tego pesymistycznego poglądu.

Co innego zawsze nam grozi — lęk przed wypowiedzeniem tego, co powinno być wypowiedziane, chęć godzenia sprzeczności — z tym jednak, żeby przede wszystkim nie urazić prawicy społecznej. Lęk ten wyraźnie przebijał się u organizatorów kongresu w doborze tematów i stawianiu sprawy możliwie ogólnikowo, w rezolucjach, okraszanych frazesem religijnym, w niegłosowaniu wniosków, wreszcie w niedozwoleniu na odczytanie deklaracji świata pracy, zgłoszonej przez Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, a wydrukowanej po Kongresie w „Robotniku" (5.X.). I jeszcze jedno. Kongres zdaniem naszym, był w sprawach dziecka trybuną, z której paść powinny pewne sądy i żądania społeczeństwa pod adresem czynników miarodajnych. Dr. Hubicki w swym końcowym przemówieniu powiedział, że nie o to chodzi, czego żądamy, ale co robimy i obiecujemy robić. Jest to bardzo zdrowa nauka moralna, zupełnie zresztą zgodna z Konstytucją 1935 r., która akcentuje nie prawa, lecz obowiązki obywateli. Ale nie należy zapominać o tym, że tylko obywatele, którzy wiedzą i czują, że mają prawo coś zrobić, coś powiedzieć, czegoś żądać, do czegoś dojść, mogą się zdobyć na ów zapał, który chciał wywołać dr. Hubicki.

Wystawa „Dziecko w Polsce" wykazuje, że wiele się u nas robi rzeczy społecznie dobrych i pedagogicznie ciekawych, a mimo to prawdą jest, co głosi deklaracja świata pracy, że „sytuacja olbrzymiej większości dzieci w Polsce, stała się wręcz katastrofalna",

że „osobny rozdział martyrologii dziecka stanowi kryzys szkolnictwa"

i że „bezpośrednią przyczyną tego stanu rzeczy jest: a) Nędza mas robotniczych i chłopskich, b) stałe zmniejszanie już oddawna niewystarczających środ-

ków, które państwo, samorządy i instytucje ubezpieczeń społecznych przeznaczają na wykonanie swoich ustawowych obowiązków wobec dziecka".

Zarówno ta prawda, jak i wnioski, żądające pewnych ustaw nowych i wykonywania istniejących, mogły i powinny były być wypowiedziane z trybuny Kongresu. Dużo powiedziano w komisjach, mniej odczytano na plenum, ale i wśród tych przesianych wniosków były żądania i musiały się znaleźć, pomimo wielkiej ostrożności organizatorów. Miejmy nadzieję, że Komitet, wyłoniony z Kongresu, będzie nie tylko segregował i ogłaszał wnioski, które wpłynęły, ale postara się, aby je usłyszano, gdzie należy.

WŁ. WEYCHERT-SZYMANOWSKA.

Szturm na pozycje monachijskie

Kiedy Mr. Chamberlain leciał do Monachium, by ostatecznie dokonać wielkiego dzieła otwarcia Trzeciej Rzeszy drogi nad Dunaj i na Bałkany, powołał się on na słowa Szekspira: „Z sieci niebezpieczeństw wydobędziemy kwiat bezpieczności". Freud ucieszyłby się z tego zdania. Bo oto, znający dobrze swego narodowego poetę, Anglicy wynaleźli już, że zdanie to wypowiada u Szekspira zdrajca Hotspur, knujący spiski przeciw własnej ojczyźnie. I tuż po zacytowanych przez Chamberlaina słowach idą dalsze: „Przedsięwzięcie na które się decydujesz jest niebezpieczne; przyjaciele, na których liczysz, niepewni, czas nawet nieodpowiedni; a cały twój spisek za słaby, by przemóc nad tak potężnymi przeciwnikami".

Niewątpliwie, Mr. Chamberlain nie miał zamiaru świadomie zdradzać interesów W. Brytanii. Jeśli je zdradził, jeśli pozbawił ją ważnych pozycji, to poprostu dlatego, że zidentyfikował zbyt pochopnie interesy finansjery City z interesami choćby tylko imperializmu brytyjskiego. Ale któż zaprzeczy, że uwagi dalsze zdrajcy Hotspura o wątpliwych, niepewnych przyjaciołach, o nieodpowiednim czasie, o potężnych przeciwnikach, pasują jak ulał do przedsięwzięcia konserwatywnego premiera Wielkiej Brytanii?

Wątpliwi przyjaciele? Przecież właśnie to pytanie, czy można wierzyć Niemcom, stało w ośrodku dyskusji w Anglii w ciągu ostatnich dni. Przecież najdobitniejszą na nie odpowiedź dał w swej mowie saarbrückeńskiej sam partner premiera, kanclerz Hitler, nie wspominając ani słowem o deklaracji do której taką wagę przywiązywał premier i obrzucając Wielką Brytanię szyderstwami i groźbami. A aluzje do Palestyny były zgoła nieprzyjemne dla angielskiego ucha.

Jeszcze dobitniejszej odpowiedzi na to pytanie udzielają fakty, dokonywujące się już po ugodzie monachijskiej.

Przede wszyskim staje się coraz bardziej jasnym, że odwrót w sprawie czechosłowackiej przechodzi z planowego cofania się w paniczną ucieczkę. Jeśli wierzyć informacjom prasy polskiej, p. von Ribbentrop samowładnym gestem odrzucił wszelkie argumenty komisji ambasadorów, oświadczając po prostu: „Jeśli mi nie przyznacie tego, co chcę, wezmę to sobie sam bez waszego pozwolenia". Na co ambasadorzy angielski i francuski, idąc utartym szlakiem swych premierów, oczywiście tego pozwolenia udzielili. Z pięciu punktów, które premier Chamberlain wyliczył w parlamencie, jako swe poprawki do memorandum godesberskiego, pozostały już dwa: obsadzenie Sudetów etapami i fikcyjna, przez nikogo poważnie nie brana, gwarancja międzynarodowa dla Czechosłowacji.

Czyż można się dziwić, że w takiej sytuacji Czechosłowacja ulega szybkiej hitleryzacji, że górne warstwy biurokracji, kapitału finansowego i obszarnictwo już orientują się na „organiczną współpracę" z potężnym sąsiadem? Że prezes czołowego banku czeskiego Živnostenska Banka, p. Preiss, zdawien dawna „współpracujący" z takimi kolosami niemieckiego kapitalizmu jak koncern Mannesmanna ,znalazł się już, dla przyjacielskich rozmówek, w Berlinie? Nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby miejsce prezydenta Benesza zajął, przy wyborach, które mają się odbyć za dwa tygodnie, jakiś „najwierniejszy z wiernych" berlińskiej orientacji.

Jeszcze poważniej zapowiadają się następstwa dalsze. Zdaje się, że „Gleichschaltung" basenu naddunajskiego odbywa się w chwili obecnej w tempie zgoła zadziwiającym. Na Węgrzech przedstawiciele siedzącego jeszcze w kryminale agenta hitlerowskiego Szalassy'ego pertraktują już o swe wejście do rządu. W Jugosławii p. Funk, minister gospodarstwa Rzeszy, doprowadził do końca długie, skomplikowane pertraktacje, w których ostatecznym wyniku Jugosławia, zdaje się, wchodzi już w zupełności w orbitę wpływów gospodarczych, a to znaczy i politycznych, to znaczy przede wszystkim w orbitę gospodarki wojennej Trzeciej Rzeszy. Co więcej, tenże p. Funk, śmiałym skokiem znalazł się w Ankarze i zawarł z Turcją umowę o pożyczkę, jakiej Rzesza ma udzielić Turcji. Pożyczka ta wynosi 150 mil. mk. i ma być wypłacona w towarach. Jakie to mają być towary, niewiadomo. Wiadomo natomiast, że Rzesza udziela z upodobaniem swym przyjaciołom na Wschodzie pożyczek w wyrobach firmy Krupp.

W Ankarze min. Funk wstąpił na stary, tradycyjny szlak cesarskiej Rzeszy: na drogę na Bagdad i Persję, drogę na Egipt i Indie. Nie darmo zastępca kanclerza, min. Hess, urodził się w Aleksandrii. Nie darmo kanclerz w każdej z swych ostatnich mów uważał za swój obowiązek wspomnieć o biednych, prześladowanych palestyńskich Arabach. Nie darmo w dzień po konferencji w Monachium zapłonęło powstanie w całej Palestynie, a tajny komitet arabski wysyła ultimata, rozgłaszane skwapliwie po całym świecie przez Deutsches Nachrichten - Büro.

A wszystko to dzieje się przy istnieniu zmobilizowanej dotąd półtora milionowej armii niemieckiej, stojącej z bronią u nogi i czekającej na niewiadomy rozkaz. Próżno głowią się w Paryżu i Londynie, dlaczego właściwie kanclerz Hitler dotąd nie odesłał do domu ani jednego żołnierza, skoro bezpośrednia przyczyna mobilizacji: sprawa sudecka, jest już załatwiona w zupełności, najdokładniej podług życzeń niemieckich...

Nic dziwnego, że skoro przyjaciele okazują się niepewni, przeciwnicy dają znać o sobie. Kto czytał uważnie sprawozdanie z tej wielkiej debaty, w której parlament Wielkiej Brytanii poddał surowej ocenie dzieło konferencji monachijskiej, tego uderzał niewątpliwie fakt jeden: oto najbardziej zabójcza krytyka, najbardziej dotkliwe zarzuty padały nie z ław opozycyjnych, nie z ław Labour Party, czy liberałów, chociaż i ich przedstawiciele nie żałowali słów ostrej krytyki. Główny ogień szedł od przyjaciół i towarzyszy partyjnych, od tych nawet, którzy później mimo wszystko głosowali za votum zaufania dla premiera. Żadne zwycięstwo w głosowaniu, zwycięstwo, spowodowane względami partyjnej dyscypliny i taktycznych rozgrywek nie zmieni tego faktu: to właśnie wewnątrz własnej partii, wśród niepokalanych konserwatystów i imperialistów formuje się przeciw filo-hitlerowskiej polityce premiera opozycja twarda i nieubłagana.

Przypuszcza szturm od pozycji Chamberlaina potężna Partia Pracy, opierająca się o wielomilionową masę członkowską Trade Unionów. Oskarża go stronnictwo liberalne, mocno już wprawdzie poderwane, ale rozporządzające jeszcze ciągle starymi tradycyjnymi wpływami w niektórych kołach mieszczańskich i inteligenckich. Ale obok tych stałych przeciwników każdego konserwatywnego rządu, podnosi głowę przeciwko premierowi opozycja we własnym obozie.

Staje przeciwko premierowi opozycja wojskowa. To jej wyrazicielem jest Winston Churchill, „strażnik Imperium“, przyjaciel wielkiego „anonimowego mocarstwa“, znanego pod nazwą Intelligence Service. Opozycja wojskowa, to armia i flota. Ale przede wszystkim flota, tradycyjnie dzierżąca straż nad całością i interesami Imperium. Trzech pierwszych lordów admiralicji — skomplikowana mocno angielska nazwa dla ministra marynarki — wystąpiło tym razem z oskarżeniami przeciw Chamberlainowi: Churchill, Amery i Duff Cooper. Wstrzymał się od głosowania nad wotum zaufania admirał Sir Roger Keyes. Na liście konserwatywnych posłów, którzy wraz z nim wstrzymali się od głosowania, co drugi niemal posiada jakąś rangę wojskową. Rozgoryczona opozycja wojskowa szuka kontaktu na lewo. Czytaliśmy niedawno w „News Chronicle“ ciekawy list. „Całe życie byłem Torysem i to zawziętym Torysem, z tradycji rodzinnej i z natury mego zawodu. Ale w ciągu tych ostatnich tygodni, spotykając się na wiecach z robotnikami, przekonałem się, że o wiele więcej zmysłu dla prawdziwego patriotyzmu posiadają masy ludowe niż t. zw. towarzystwo“ — pisał tam p. Sutherland Macdonald, major 1 pułku strzelców gurkijskich. Te słowa są odzwierciadleniem procesu, który dokonywuje się nie tylko w Anglii.

Staje przeciw premierowi opozycja kapitału kolonialnego, zaniepokojona ustępstwami dla groźnej niemieckiej konkurencji. Przemawiał przecież w parlamencie przeciw Chamberlainowi były Komisarz Egiptu. Przemawiał w Izbie Lordów lord Lytton, były sprawozdawca Ligi Narodów w czasie konfliktu mandżurskiego, jeden z najlepszych znawców problemów dalekowschodnich i magnatów kapitału na tymże Dalekim Wschodzie. Zabrał głos przeciwko polityce premiera na łamach prasy brytyjskiej wybitny ekonomista John Maynard Keynes, związany z wielkim kapitałem brytyjskim, pracującym na terenie Imperium. Być może niemałą rolę w zaostrzeniu tej opozycji odegrał fakt, że wojska sojusznika Niemiec, Japonii, właśnie w tej chwili lądują w południowych Chinach otaczając Hongkong, jedną z najcenniejszych pereł Imperium.

Staje wreszcie przeciwko Chamberlainowi opozycja „młodych“ stronnictwa konserwatywnego, łącząca w sobie elementy opozycji wojskowej, opozycji — nazwijmy ją tak — kolonialnej i elementy swoistego liberalizmu, wynikające z faktu, że w tym kraju, gdzie faszyzm dotąd pozostał, jeśli idzie o stosunki wewnętrzne, czymś w rodzaju straszydła na wróble, ktokolwiek chce zdobyć wpływy i popularność w masach, musi być liberałem i demokratą. Fakt to ciekawy i charakterystyczny: w chwili, gdy młodzież klas posiadających wszystkich niemal krajów kontynentu europejskiego gromadzi się pod znakami faszyzmu, w Anglii młodzież ta próbuje, przeciwnie, zbliżyć się do mas ludowych i, bodaj w terminologii, przystosować się do nich. Prawdopodobnie dlatego p. Piasecki w „Prosto z Mostu“ dochodzi do przekonania, że Anglicy to naród, od którego już niczego spodziewać się nie można...

Pozycja premiera jest mocno zachwiana. Czołowy organ konserwatystów „Daily Telegraph“, który ostatnio przeszedł pod wpływ grupy Churchilla, rozgłosił już po zakończeniu debaty parlamentarnej wiadomość, że depesza z zaproszeniem kanclerza Hitlera do Monachium, doręczona premierowi wśród tak dramatycznych okoliczności przy końcu jego mowy, przez min. Simona, była mu znana już od rana... Poważni business-men City kręcą zlekka głowami na tego rodzaju reklamowe tricki, przystojące raczej divie filmowej, niż premierowi Wielkiej Brytanii, a „szary człowiek“, który radośne witał Chamberlaina po powrocie z Monachium, zaczyna powoli rozumieć, że nabito go w butelkę, i to nie byle jak. Zwolennicy Mr. Chamberlaina ratują sytuację jak mogą. Zaangażowali, dla przeprowadzenia kampanii „mającej wzmocnić pozycję premiera i zrozumienie jego polityki zagranicznej w kraju“ jakiegoś dyrektora przedsiębiorstwa reklamowego, który dotąd reklamował w szczególności pewne gatunki kartofli i—zdaje się — służył niekiedy za agenta propagandowego Rzeszy Niemieckiej. Sprawa wyszła na jaw i wszyscy teraz odżegnują się od niefortunnej imprezy.

Pozwalamy sobie wątpić, by poprawiła sytuację premiera ostatnia mowa kanclerza Hitlera w Saarbrücken, w której wychwalał on politykę Chamberlaina i groził Anglii wojną w razie powrotu do rządów takich narzędzi światowego bolszewizmu i żydostwa, jak Winston Churchill, Duff Cooper i Eden. Ostatecznie Anglicy przywykli już od dość długiego czasu do wybierania sobie rządów podług własnego upodobania. Podobno, kiedyś, jeden z królów angielskich zapłacił nawet głową za brak zrozumienia ich upodobań pod tym względem. Trudno przypuścić, by obecnie doszli do przekonania, że kanclerz Niemiec lepiej wie, kto będzie dobrym ministrem Wielkiej Brytanii od ludu angielskiego. Obawiamy się nawet, że zbyt natrętne polecenie kanclerza Hitlera mogą w oczach opinii angielskiej tylko zdyskredytować jego pupila.

Tak jest, niewątpliwie. Pozycja premiera Chamberlaina jest zachwiana. Znikł nimb „latającego anioła pokoju“, który go otaczał jeszcze tydzień, jeszcze pięć dni temu. Lud brytyjski budzi się szybko z hipnozy „pokojowych“ obietnic, zaczyna rozumieć zgoła groźną rzeczywistość. Budzi się, zaznaczmy to odrazu, o wiele szybciej niż lud francuski, łatwiej ulegający obłudnym deklamacjom „pacyfistów“ monachijskiego autoramentu, dla których pokojem jest kapitulowanie

przed sztandarem wojennym totalizmów, a wojną — przeciwstawienie się temu szantażowi. Ale czy znaczy to, że godzina generalnego ocknienia jest bliska, że stoimy, być może, znowu przed zwrotnym punktem w polityce mocarstw zachodnich?

Zdaje się, że takie twierdzenie jest przedwczesne. Byłoby ono niewątpliwie słuszne z jednym warunkiem: że dotychczasowy ustrój demokratyczny tych krajów zostanie zachowany, że zmiany w opinii publicznej znajdą wyraz w zmianie polityki ich rządów. Tak było dotąd, ale tak nie musi być zawsze.

W toku debat Izby Gmin zaszedł jeden fakt ciekawy i godny uwagi: oto, wbrew oficjalnemu stanowisku stronnictwa liberalnego wystąpił dawny wódz liberałów Sir Herbert Samuel, wystąpił z wyraźnym poparciem polityki premiera. Ten były Wysoki Komisarz Palestyny to figura wiele mówiąca. Kiedy, przed szeregiem lat, większość stronnictwa liberalnego pod wodzą Simona przeszła na konserwatywne pozycje i przyjęła program protekcjonistyczny, imperialny, który później został wprowadzony w życie w umowach ottawskich, Sir Herbert pozostał przy starej tradycyjnej wolnohandlowej doktrynie. Przyłączył się do lewicy liberalnej grupy Sinclaira. Dlaczego? Już wtedy mówiono, że Sir Herbertem kierują motywy inne, niż argumenty doktrynalne, tak ważne dla innych członków tej grupy. Sir Herbert, to przedstawiciel tej grupy wielkich banków City, która zaangażowana jest głęboko w Europie Środkowej. Sir Herbert to przedstawiciel przede wszystkim banku Lazard Brothers i domu Rotszyldów. Przez usta Sir Herberta ród Rotszyldów błogosławił dziełu ratowania papieża antysemityzmu, kanclerza Hitlera. Pieniądze są ważniejsze, niż sympatie osobiste...

Dom Rotszyldów nie jest izolowany. Istnieją w Europie, istnieją przede wszystkim we Francji i Anglii potężne grupy kapitału finansowego, zainteresowane w ratowaniu za wszelką cenę, choćby kosztem własnej ojczyzny ,faszyzmu niemieckiego i włoskiego od niesławnego upadku. Jest to znaczna część wielkich trustów, tych szczególnie, które w ten czy inny sposób związane są z trustami niemieckimi. Wskazywaliśmy już na to kilkakrotnie. Prawda, tym trustom przeciwstawiają się inne, zainteresowane z tych czy innych przyczyn w zahamowaniu niemieckiej ekspansji. W dyrektorskich gabinetach City, w salach posiedzeń wielkich banków francuskich trwa walka, głucha może, mniej głośna napewno, ale nie mniej ostra i bodaj bardziej jeszcze decydująca, niż w Izbie Gmin i w parlamencie francuskim. Jeśli w walce tej zwyciężą — a jest możliwe, że zwyciężą — zwolennicy Monachium, to spróbują oni zrealizować politykę monachijską wbrew opinii publicznej, a to znaczy: na gruzach ustroju demokratycznego Anglii i Francji.

Słusznie mówił w Izbie Gmin Winston Churchill, sam zresztą demokrata dość świeżego autoramentu: polityka zagraniczna, polegająca na kapitulacji przed dyktaturami musi doprowadzić i do polityki wewnętrznej, zwodzącej się do kapitulacji przed totalizmem, musi doprowadzić do zamachów na wolność także wewnątrz państw dotąd demokratycznych. W chwili, gdy artykuł ten idzie do druku, nadchodzi wiadomość o „inicjatywie" francuskich związków kombatanckich, inicjatywie, która, jeśli telegramy prasy polskiej są ścisłe, oznacza ni mniej ni więcej jak próbę proklamowania Daladiera na przeciąg roku lub dwóch dyktatorem Francji. Słyszeliśmy już, że dyktatorzy dochodzili do władzy dzięki zwycięskim wojnom. Inni zdobywali ją w walce przeciw tym, którzy mieli być — słusznie czy niesłusznie — winnymi przegranej wojny. P. Daladier byłby pierwszym dyktatorem, którego tytuł do władzy polegałby na przegraniu pokoju...

Mimo wszystko „inicjatywa" kombatancka zasługuje na traktowanie jej poważnie. Na traktowanie jej jako poważne niebezpieczeństwo. Niedarmo już zgłaszają do niej radosny akces wszyscy wrogowie demokracji francuskiej. Niewątpliwie nie została ona ogłoszona bez cichej zachęty ze strony sfer rządowych. Niewątpliwie trusty i bankokracja nie były obce jej narodzinom. P. min. Bonnet, aryjski mąż zaufania tej samej potencji, którą w Londynie reprezentuje sjonista Sir Herbert Samuel, też chyba coś nie coś o niej wiedział... Stoimy wobec próby, niewątpliwej próby faszyzacji Francji.

Sytuacja na Zachodzie staje się coraz dramatyczniejsza. Umowa monachijska nie przyniosła pokoju zewnętrznego Anglii i Francji. Przyniosła co najwyżej krótkotrwałe zawieszenie broni. Ale zato przeniosła ona do obu tych krajów ponownie zarzewie wojny domowej. Opinia publiczna wielkich demokracji buntuje się przeciw kapitulacji swych rządów. W odpowiedzi na to ciemne moce, które im tę kapitulację narzuciły, odpowiadają próbą zdławienia tej opinii, próbują zdławienia wolności we Francji i Anglii. Trusty, w odpowiedzi na krytykę ich filo-faszystowskiej polityki zagranicznej chcą dokonać faszyzacji polityki wewnętrznej krajów Zachodu.

Lud angielski i lud francuski stoją w przededniu poważnych, decydujących walk. Walk, w których rozstrzygać się będzie los polityki wewnętrznej i los polityki zagranicznej obu mocarstw Zachodu. Nie da się już dziś oddzielić jednej od drugiej. Przekonują się o tym dowodnie w tej chwili ci, którym zdawało się, że można łączyć demokratyczną politykę wewnętrzną z filo-faszystowską polityką zagraniczną. Wszystkie sympatie demokracji polskiej, sympatie ludu polskiego są w tej walce po stronie demokracji francuskiej i angielskiej, walczącej równocześnie o swą własną wolność i o przyszłość swej ojczyzny, o pokój europejski.

ROMAN LANG.

Marian Zdziechowski

Zmarł w Wilnie Marian Zdziechowski, profesor, uczony, polityk, filozof, znakomity znawca literatur zachodnio - europejskich i słowiańskich, wyborny stylista.

Nauka polska traci wybitnego badacza, kultura i piśmiennictwo niestrudzonego, o wielkich zasługach twórcę i pracownika. A choć nie wszystkie stanowiska i poglądy filozoficzne Zmarłego mogliśmy podzielać, a zwłaszcza społeczno - polityczne, choć różnić się można z Nim zasadniczo w ocenie zjawisk współczesnej rzeczywistości, to nie może to jednak umniejszyć naszego podziwu dla trudu myśli i dla wielkości dorobku naukowego autora „Chateaubrianda".

Należał Marian Zdziechowski do tego świetnego pocztu Polaków, którzy promieniowali na środowisko nie tylko niezależnością i głębią swego umysłu, nie tylko idealizmem i prawością swej duszy, ale także, co dziś jest rzeczą bezcenną — wielką odwagą moralną. Odwagą przekonania i sądu, odwagą pozostawania sobą, odwagą w obronie człowieczeństwa.

Chamberlain przed sądem Izby Gmin

Nadmiar materiału zmusza nas do pewnego podziału gotowych już do druku notatek. W następnym zeszycie „Epoki“ podamy Czytelnikom zestawienie głosów prasy światowej o pakcie monachijskim. Obecnie podajemy — jako bezcenny wprost materiał dla zorientowania się w nastrojach Zachodu — treść głównych przemówień na sesji parlamentu brytyjskiego, poświęconej ocenie tego paktu.

Czytelnik raczy zauważyć, że przy wyborze poszczególnych wystąpień, podaliśmy tylko po jednym wystąpieniu z ramienia stronnictw opozycji, liberałów i Labour Party. Stanowisko tych stronnictw jest bowiem znane i — w przeciwieństwie do odpowiednich ugrupowań we Francji — niemal zupełnie jednolite. Wyłamali się z tego stanowiska na ławach opozycji jedynie „czyści pacyfiści“ z Independent Labour Party (rzecz ciekawa, zdezawuowani już przez Zarząd Główny swego stronnictwa) oraz kilku liberałów pod wodzą przedstawiciela domu Rotszyldów, Sir Herberta Samuela.

Wiele miejsca natomiast poświęciliśmy — z rozmysłem — wywodom opozycjonistów należących do rządowej partii konserwatywnej. Wydaje się nam, że jeśli idzie o proces fermentu na „górach“, właśnie te wystąpienia posiadają największe znaczenie i, być może, spełnią poważną rolę przy ostatecznym ukształtowaniu polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii.

EPOKA.

Premier Chamberlain

Kiedy rozważa się uchwały monachijskie, trzeba pamiętać o dwóch rzeczach: po pierwsze sprawa oddania Rzeszy terenów o większości niemieckiej była już wtedy zadecydowana, gdyż Czechosłowacja przyjęła propozycje angielsko-francuskie, po drugie czynnikiem najważniejszym był czas. Groził konflikt, który mógł zamienić się w katastrofę. Dlatego należało znaleźć rozwiązanie jak najszybsze, pozwalające na uniknięcie wszelkich nowych, niespodziewanych incydentów.

Różnice pomiędzy uchwałami monachijskimi a memorandum godesberskim są poważne. Po pierwsze uchwały te nie stanowią ultimatum, jakim było w swej treści memorandum. Po drugie przejęcie terenów sudeckich odbywa się w pięciu etapach. Po trzecie granice terenów oddanych Rzeszy zostaną ustalone przez komisję międzynarodową. Po czwarte tereny plebiscytowe zostaną określone przez komisję międzynarodową. Umowa monachijska przewiduje obsadzenie terenów plebiscytowych przez oddziały międzynarodowe, zabezpiecza Czechosłowacji możliwość regularnego odwrotu oraz przewiduje możliwość opcji obywateli Sudetów na rzecz Czechosłowacji. Wreszcie umowa monachijska przewiduje gwarancję międzynarodową dla nowych granic Czechosłowacji, podczas gdy memorandum godesberskie o tym milczało. Są to wszystko poważne różnice.

W umowie monachijskiej nikt nie odniósł osobistego triumfu. Wykazała ona, że cztery wielkie mocarstwa mogą znaleźć drogę do rozwiązywania drogą dyskusji, zamiast drogą siły, skomplikowanej i trudnej operacji, która mogła była doprowadzić do katastrofy. Dlatego nie wstydzę się niczego, co zrobiłem.

Wiele złego mówiono tutaj i mówiło się w przeszłości o kanclerzu niemieckim. Ale trzeba pamiętać, że dla człowieka na jego stanowisku trudno jest wycofywać się z oświadczeń tak stanowczych, złożonych wśród entuzjastycznych oklasków. Fakt, że zgodził się on dyskutować z przedstawicielami innych mocarstw o sprawach, które, podług jego poprzednich oświadczeń, były dlań zdecydowane raz na zawsze, stanowi poważne i istotne ustępstwo z jego strony.

Mussolini przyczynił się poważnie do osiągnięcia pokojowego rozwiązania sprawy. To on skłonił kanclerza Hitlera do przesunięcia o 24 godziny mobilizacji niemieckiej.

Wiele zawdzięczamy odwadze, gotowości do ponoszenia odpowiedzialności i zawsze pogodnemu humorowi, jaki okazał premier Daladier.

Również depesza prezydenta Roosevelta przyczyniła się w poważnym stopniu do osiągnięcia porozumienia.

Ale najważniejszym czynnikiem pokoju były nie te czy inne osobistości, lecz wola zachowania pokoju, jaka jednakowo ożywiała naród angielski i francuski, jak niemiecki i włoski.

Odkąd objąłem me stanowisko, zawsze starałem się o stworzenie pokojowego nastroju w Europie, o przezwyciężenie tych niechęci i tych podejrzeń, które tak długo zatruwały atmosferę Europy. Droga, która wiedzie do pokoju, jest długa i trudna. Problem Czechosłowacji był, być może, najtrudniejszą przeszkodą na tej drodze. Obecnie, kiedy ta przeszkoda została usunięta, wydaje się mi, że będzie można poczynić dalsze kroki na drodze do uzdrowienia stosunków.

Nie wiem, dlaczego moja rozmowa z kanclerzem Hitlerem wywołała krytykę i podejrzenia. Nie zawarłem z nim żadnego nowego paktu. Nie zaciągnąłem żadnych nowych zobowiązań. Nasza rozmowa nie była skierowana przeciw żadnemu innemu państwu. Chciałem tylko, w przyjacielskiej rozmowie, stwierdzić, jakie istnieją punkty wspólne pomiędzy szefem rządu demokratycznego a wodzem reżymu totalitarnego. Rezultatem tej rozmowy jest deklaracja, jaka została ogłoszona. Kto zaprzeczy, że wszystko, co znajduje się w tej deklaracji jest słuszne? Wierzę, że została ona podpisana przez obie strony szczerze i z dobrą wolą.

Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że stały pokój nie jest tak łatwy do uzyskania. Krytycy uważają, że jestem optymistą i że jedyne, co można zrobić, to trwać w niewierze we wszystko, co mówią kierownicy innych wielkich państw Europy.

Jestem realistą. Wiem, że nie stoimy już u wrót raju, że położyliśmy dopiero fundamenty pokoju. Dlatego niech nikt nie sądzi, że ponieważ w Monachium doszło do porozumienia pomiędzy czterema wielkimi mocarstwami, możemy już zaprzestać zbrojeń. Wielka Brytania nigdy już nie zgodzi się na jednostronne rozbrojenie. Spróbowaliśmy już raz i doprowadziło nas ono niemal do zguby. Rozbrojenie może być realizowane tylko stopniowo i tylko przy porozumieniu i aktywnej współpracy innych krajów. Musimy jak najszybciej wypełnić luki naszego dozbrojenia i naszych zarządzeń ochronnych. Niezależnie od tego, spróbujemy dojść z innymi mocarstwami do porozumienia w sprawie rozbrojenia. Widoki na takie porozumienie są dziś pomyślniejsze, niż kiedykolwiek.

Warunkiem rozbrojenia jest jednak wzrost zaufania pomiędzy narodami, by zgodziły się one stopniowo zrezygnować z jednej broni po drugiej. Temu zadaniu: odbudowy zaufania międzynarodowego, chcę poświęcić tę resztę czasu i energii, która mi pozostaje, zanim oddam urząd w ręce młodsze od moich.

Duff Cooper

(Konserwatysta, b. min. marynarki, motywował swe ustąpienie z rządu Chamberlaina).

Czułem się straszliwie samotny, kiedy, zaraz po powrocie premiera z Monachium, znalazłem się wśród szczęśliwego, rozradowanego tłumu. Nie mogłem dzielić jego radości. Bolało mnie, że w chwili, gdy wszyscy koledzy obstąpili premiera, składając mu gratulacje, ja mogłem mu ofiarować rzecz jedyną: moją dymisję.

Kiedy grozi kryzys międzynarodowy, pierwszym obowiązkiem rządu Wielkiej Brytanii, jest określić wyraźnie, jakie stanowisko w tej sprawie zajmuje nasz kraj. To jednak nie zostało zrobione w przeciągu ostatnich miesięcy i to jest podstawowy błąd naszej polityki w tym okresie.

Kiedy gabinet zebrał się w lecie, po powrocie ministrów z urlopów, przedłożono mu mnóstwo informacji, pochodzących z najrozmaitszych źródeł, od naszych przedstawicieli dyplomatycznych, od członków parlamentu, od polityków wszystkich części świata, wskazujących zgodnie, że Niemcy gotują się do wojny i że tej wojnie można zapobiec w jeden jedyny sposób: oświadczając wyraźnie, że, jeśli wojna wybuchnie, Wielka Brytania weźmie w niej udział, po stronie przeciwnej.

Po zagrabieniu Austrii, kiedy żądano, by Wielka Brytania zajęła zdecydowane stanowisko, padła odpowiedź, że lud angielski nie zechce się bić o Czechosłowację. To prawda. Również w 1914 r. nie walczyliśmy o Belgię. Walczyliśmy o to, by nie pozwolić jednemu mocarstwu na poniewieranie prawa międzynarodowego, na lekceważenie moralności i na panowanie, przy pomocy brutalnej siły, nad całym kontynentem europejskim.

Musimy być zawsze gotowi do walki o tę zasadę, bo w tym dniu, w którym nie będziemy gotowi bić się o jej przestrzeganie, stracimy nasze Imperium, nasze swobody i naszą niezależność.

Wprawdzie premier i minister skarbu złożyli swego czasu pewne oświadczenia, ale były to oświadczenia ostrożne, dyplomatycznie sformułowane. Język premiera i ministra skarbu nic nie znaczy dla mentalności dyktatorów. Wraz z nowymi metodami i nową moralnością wprowadzili oni również nowy język do dyplomacji. Jest to język nagłówków w gazetach.

Wzywano premiera, by przemówił przed mową norymberską kanclerza Hitlera. Wzywali go do tego członkowie parlamentu, leaderzy opozycji, głowy państw obcych, nawet Niemcy, którzy są zwolennikami reżymu swego kraju, ale chcieli uniknąć wojny, która mogła stać się katastrofą dla ich ojczyzny.

Odpowiadano nam na to, że za żadną cenę nie wolno irytować kanclerza Hitlera. Rzeczą zaś szczególnie niebezpieczną byłoby irytowanie go przed jakąś mową, którą on ma wygłosić, bowiem, gdyby się zirytował, mógłby powiedzieć coś strasznego, z czego później nie mógłby się więcej wycofać.

Zdaje mi się, że kanclerz Hitler ilekroć przemawia publicznie, czyni to pod wpływem jakiejś poważnej irytacji i dlatego jeszcze jedna dodatkowa irytacja nie miałaby już poważnego znaczenia.

Dopiero po jego mowie berlińskiej kanclerzowi Hitlerowi oświadczono z pewnej miarodajnej strony angielskiej, że w pewnych okolicznościach Anglia byłaby zmuszona do walki. Zdaje się, że nie przywiązywał on żadnej wagi do tego oświadczenia. Potem dopiero przyszło, w środę rano, ostatnie wezwanie premiera. Wtedy dopiero kanclerz Hitler, po raz pierwszy od początku pertraktacji, zgodził się ustąpić, ustąpić tylko na cal, może na łokieć, ale w każdym razie ustąpić wobec argumentów Wielkiej Brytanii.

Ale wezwanie premiera nie było pierwszą nowiną, która doszła Berlina tego ranka. Jeszcze przed tym kanclerz dowiedział się o mobilizacji floty brytyjskiej.

Nigdy nie dowiemy się prawdopodobnie, które z tych dwóch źródeł inspiracji skłoniło go do zgody na spotkanie monachijskie. Ale wiemy z pewnością, że nigdy dotąd nie ustępował, a tym razem ustąpił.

Żądałem mobilizacji floty od szeregu dni. Uważałem, że to jest właśnie język, który kanclerz Hitler zrozumiałby najłatwiej. Żądałem jej w chwili wizyty premiera w Berchtesgaden. Żądałem jej później, kiedy Sir Wilson udawał się do kanclerza. Premier sądził, że mobilizacja doprowadziłaby do fiaska misję Sir Wilsona. Ja uważałem, że jest to jedyny sposób, aby zapewnić powodzenie tej misji.

Oto była zasadnicza różnica pomiędzy nami: premier wierzył, że wpłynie na kanclerza Hitlera językiem słodkiej argumentacji. Ja wierzyłem w wymowę uzbrojonej pięści. Język słodkiej argumentacji został ostatecznie zastosowany, ale cóż on osiągnął?

Kiedy premier znalazł się w Berchtesgaden w obliczu kanclerza Hitlera, zdał on sobie, jako dobry znawca ludzi, od razu sprawę z faktu, że szkoda czasu na jakiekolwiek kontrpropozycje wobec ultimatum kanclerza Hitlera. Premier powrócił z Berchtesgaden, ubrawszy propozycje niemieckie w płaszcz „samostanowienia" i przedłożył je gabinetowi. Gabinet, po dyskusji, zatwierdził te propozycje i ja należałem do tych, którzy je zaakceptowali. Premier pojechał po raz drugi do Niemiec i przywiózł stamtąd nowe ultimatum. Słodką argumentacją nie uzyskał od kanclerza Hitlera niczego więcej, poza warunkami, które okrutny i mściwy wróg mógł był podyktować pobitemu przeciwnikowi po długiej wojnie. Gabinet postanowił odrzucić te warunki. Wysłano jeszcze ostatnie wezwanie do kanclerza Hitlera. Na darmo.

Dopiero kiedy flota brytyjska została zmobilizowana, kanclerz Hitler zdał sobie sprawę z faktu, że Wielka Brytania gotowa jest walczyć w obronie wielkiej sprawy. Premier odniósł wielki triumf: udało mu się uzyskać modyfikację warunków godesberskich.

Próbowałem strawić warunki monachijskie, ale utkwiły mi one w gardle. Mimo cennych zmian, fakt inwazji wojsk niemieckich do Czechosłowacji w określonym terminie pozostał niezmieniony. Niemcy nie tylko położyły swego przeciwnika, ale pozwolono im jeszcze kopnąć go.

Wyszliśmy ze stratą prestiżu i po raz pierwszy w historii zobowiązaliśmy się bronić granicy, położonej w Środkowej Europie. Gwarantowaliśmy granicę, którą sami dopiero co zniszczyliśmy. Zadaliśmy komuś śmiertelny cios i równocześnie ubezpieczyliśmy go na wypadek śmierci.

Premier wierzy w dobrą wiarę kanclerza Hitlera chociaż złamał on traktat wersalski oraz swe przyrzeczenie nie ingerowania w sprawy czechosłowackie. Ale przecież Niemcy są w wielu krajach Europy. Są w Szwajcarii, są w Danii, są w Alzacji. Jedynym krajem w Europie, gdzie nie ma Niemców, jest Hiszpania.

Premier przykłada wielką wagę do oświadczenia kanclerza Hitlera, że kwestia kolonialna nie stanie się przyczyną wojny. Czy znaczy to, że kanclerz Hitler zadowolił się negatywną odpowiedzią w tej sprawie? Czy też należy to rozumieć tak: kanclerz chce uzyskać kolonie tak, jak dotąd uzyskiwał wszystko inne— przy pomocy bluffu, blagi i szantażu?

Może premier ma rację, ale ja nie mogę wierzyć w to, w co on wierzy. Dlatego nie mogę pozostać nadal w jego gabinecie. Byłbym dlań tylko przeszkodą, nie pomocą. Dlatego ustępuję.

Tracę wiele. Ustępuję ze stanowiska, które kocham. Rezygnuję z pracy, która mnie głęboko interesowała. Opuszczam sztab współpracowników, z których mógłby być dumny każdy człowiek. Tracę przywilej pracowania pod wodzą kierownika, na którego spoglądam z najgłębszym podziwem i przywiązaniem. Być może, rujnuję swą karierę polityczną. Wszystko to jednak traci dla mnie na znaczeniu wobec jednego faktu: mogę chodzić po świecie z podniesioną głową.

Winston Churchill

(b. minister marynarki, zdaniem ogólnym mąż zaufania brytyjskiego Intelligence Service).

Chcę zacząć od stwierdzenia faktu najbardziej przykrego i najbardziej niepopularnego, o którym wszyscy chcieliby zapomnieć i który wszyscy chcieliby przemilczeć. Ten fakt jednak trzeba stwierdzić. Trzeba powiedzieć, że ponieśliśmy ciężką, niczym nie złagodzoną, klęskę i że Francja straciła nawet jeszcze więcej niż my. Dyktator niemiecki zgodził się łaskawie, by zamiast wziąć samemu ze stołu to, co chciał, przyjąć to samo z naszych usłużnych rąk.

Premier mówił o różnicy pomiędzy żądaniami z Berchtesgaden, z Godesbergu i uchwałami monachijskimi. Ktoś żądał od nas, przystawiając nam rewolwer do piersi, jednego funta. Ofiarowaliśmy mu go. Wtedy zażądał, nadal grożąc rewolwerem, dwóch funtów. Po targach zgodził się wziąć funt i siedem ósmych funta w gotówce a resztę w wekslach. Co za szlachetna ustępliwość!

Poco mówiono nam, że znajdujemy się na skraju wojny, gdy byliśmy zdecydowani i tak poświęcić Czechosłowację? Czesi, pozostawieni samym sobie, byliby z pewnością uzyskali korzystniejsze warunki, niż te, które uzyskali obecnie. Gorszych warunków na pewno nie mogli uzyskać.

Mogliśmy razem z Francją, szczególnie przy utrzymaniu ścisłego kontaktu z Sowietami, w ciągu lata skłonić do wystąpienia po naszej stronie wiele spośród mniejszych państw Europy. Takie połączenie sił, dokonane w chwili, zanim dyktator niemiecki zaangażował się nieodwołalnie w awanturę sudecką, byłoby wzmocniło w Niemczech te kierunki, które sprzeciwiały się tej awanturze.

Pomiędzy kapitulacją a wojną istnieje droga trzecia, droga nie tylko pokoju, ale sprawiedliwości. Dziś, jeśli idzie o Czechosłowację, jest już zapóźno. Opuszczona przez wszystkich, Czechosłowacja drogo zapłaciła za swą przyjaźń w Lidze Narodów i z demokracjami Zachodu.

Jest oszustwem i farsą mówić o samostanowieniu wobec tego, co się stało. Nikt nie pytał Niemców sudeckich, czy chcą należeć do Rzeszy. Sam Henlein zapewniał mnie przed sześciu miesiącami, że nawet nie myśli o tym, że chodzi mu tylko o samorząd. Nie przystało mówić o samostanowieniu państwom totalistycznym, które odmawiają nawet cienia tolerancji jakiejkolwiek grupie czy kierunkowi ideowemu, niezależnemu od rządu.

Obecna Czechosłowacja się nie utrzyma. Nie możemy jej już ratować. Czechosłowacja zostanie prędzej czy później pochłonięta przez „narodowy socjalizm". Jest to olbrzymie nieszczęście dla Anglii i Francji. Droga, która prowadzi wzdłuż Dunaju do Morza Czarnego, droga do węgla i nafty, droga, sięgająca aż do Turcji stoi otworem. Jeden, po drugim, kraje leżące na tej drodze zostaną włączone w system panowania Rzeszy, panowania nie tylko gospodarczego ale militarnego, i to bez jednego wystrzału. Kraje te niedawno jeszcze solidaryzowały się z demokracjami Zachodu. Wiele spośród nich obawiało się niemieckiej ekspansji. We wielu istniały wprawdzie filo-niemieckie rządy, ale tym rządom sprzeciwiały się potężne ruchy ludowe, wrogie totalizmowi i spoglądające z nadzieją na demokracje Zachodu. Wszystkie te pozycje są w tej chwili stracone.

Przed pięciu laty, w r. 1933, kiedy Hitler doszedł do władzy, wierzyliśmy jeszcze wszyscy w długotrwały pokój. Można było, od tego czasu, niezliczoną ilość razy powstrzymać ekspansję niemiecką. Można było przeszkodzić dozbrojeniu Niemiec. Przez pięć lat szukaliśmy linii najmniejszego oporu. Teraz zbieramy owoce tej naszej polityki.

Jaka jest sytuacja nasza, jaka jest wojskowa sytuacja Francji w chwili obecnej? Armia niemiecka jest liczniejsza od francuskiej i każdy rok będzie ją wzmacniał dalej. Kiedy dyktator niemiecki skieruje swój wzrok na Zachód — a może on to zrobić — wtedy Anglia i Francja będą gorzko żałowały straty armii czechosłowackiej, która mogła wziąć na siebie przynajmniej 30 dywizji niemieckich. Naraziliśmy na niebezpieczeństwo zarówno Anglię, jak Francję. Nawet nasza niepodległość jest narażona.

Nie chodzi tu tylko o sprawę kolonii, których zwrotu zażądają od nas Niemcy. Nie chodzi tu o utratę wpływów w Europie. Chodzi o coś jeszcze ważniejszego. Trzeba pamiętać o specyficznym charakterze ruchu hitlerowskiego, form jego panowania.

Nie będzie nigdy przyjaźni pomiędzy demokracją brytyjską a panowaniem Nazich. Mogą być stosunki dyplomatyczne, ale nie przyjaźń. Anglicy nie pogodzą się z siłą, która depcze etykę chrześcijańską, z siłą, która usiłuje odbudować pogańskie barbarzyństwo, z siłą, która kultywuje ducha agresji i podboju, z siłą, która opiera swą potęgę na prześladowaniu słabych i stosuje brutalność i morderczą przemoc wobec wiernego przyjaciela brytyjskiej demokracji. Nie zniesiemy nigdy zależności od Niemiec hitlerowskich. Aby temu zapobiec walczyłem o utrzymanie każdego bastionu obronnego. Walczyłem o rozbudowę naszej siły lotniczej, by była silniejszą od kogokolwiek, kto mógłby zbliżyć się do naszych brzegów. Walczyłem o połączenie ludów systemem zbiorowego bezpieczeństwa, o połączenie systemem sojuszów i porozumień wojskowych, wszystkich utrzymanych w ramach statutu Ligi Narodów, wszystkich sił, mogących się przyczynić do zahamowania wzrostu niemieckiej potęgi. Walczyłem nadarmo.

Ale Anglia nie chce pozostać sama, nie chce stać się satelitą niemieckiego systemu panowania hitlerowców. Być może, za kilka lat lub kilka miesięcy, znowu staniemy wobec nowych żądań, równie nienawistnych, którym każą się nam podporządkować. Żądania te mogą dotyczyć ustępstw terytorialnych albo rezygnacji z wolności brytyjskiej. Polityka ustępstw musi doprowadzić do ograniczenia wolności słowa w parlamencie, na zebraniach i w prasie. Już teraz słyszymy głosy, żądające ograniczenia swobody krytyki obywateli angielskich w stosunku do hitlerowskiego systemu niemieckiej dyktatury.

W ten sposób, kiedy prasa nasza zostanie wzięta pod kontrolę, kiedy każdy przejaw opinii publicznej zostanie poddany starannemu chloroformowaniu i doprowadzony do zaniku, nadejdzie dalszy etap tej drogi wiodącej do zniszczenia Anglii.

Trzeba się temu przeciwstawić. Trzeba jak najszybciej dozbroić Anglię w powietrzu, doprowadzić naszą obronę przeciwlotniczą do stanu, któryby zapewniał nam bezpieczeństwo. Kraj musi dokonać wysiłku, jakiego dotąd nie było. Tylko uzbrojeni zdołamy obronić się przed dalszym wzrostem potęgi niemieckiej i zachować przy życiu te formy życia, które są nam drogie.

Trzeba powiedzieć ludowi prawdę. Trzeba mu powiedzieć, że stan naszych zbrojeń jest zły. Trzeba mu powiedzieć, że ponieśliśmy klęskę, nie tocząc wcale wojny.

Nie myślcie, że to już koniec. To dopiero początek. To dopiero przedsmak gorzkiego kielicha, który będą nam dawali do picia wciąż, rok po roku, dopóki nie otrząśniemy się i, powracając do męskiego zdecydowania, nie zajmiemy pozycji w obronie wolności, jak za dawnych czasów.

Z braku miejsca zmuszeni jesteśmy odłożyć do następnego numeru mowy: lorda Cranborna, mjr. Attlee, A. Sinclaira, lorda Baldwina, Ant. Edena, Johna Simona i innych.

Odejście prezydenta Benesza

Dr Edward Benesz, najbliższy współpracownik i następca Tomasza Masaryka, zrezygnował z swego urzędu i usunął się od życia publicznego. On, który razem z wielkim Prezydentem Oswobodzicielem, był twórcą i budowniczym Czechosłowacji, patrzy dziś na upadek tego państwa, stanowiącego od samego początku jeden z podstawowych filarów systemu wersalskiego w Europie Środkowej, a później — do 1 października 1938 roku — jedyną rzeczywistą zaporę przeciw niemieckiej ekspansji w kierunku południowo-wschodnim. Pod rządami Masaryka i Benesza Czechosłowacja była przecież najważniejszym ośrodkiem wpływów francuskich na tym terenie, ośrodkiem politycznym i organizacyjnym Małej Ententy, gwarantującej system powersalski w basenie Dunaju i razem z Ententą Bałkańską stanowiącej w ostanich latach skuteczną przeciwwagę rewizjonistycznym, przeciwligowym dążeniom Niemiec i Włoch.

Dziś Czechosłowacja jest amputowanym, okaleczonym kadłubem, który — opuszczony przez Francję —wchodzi w orbitę gospodarczych i politycznych wpływów Trzeciej Rzeszy. Rola, którą nadwełtawska republika odgrywała w ciągu lat dwudziestu, skończyła się. Załamała się w tej części Europy koncepcja polityczna, której symbolem niejako był Edward Benesz. Załamała się, bo zawiedli najbardziej powołani, zainteresowani i zobowiązani gwaranci systemu wersalskiego — gwaranci całości i niezależności Czechosłowacji. Trzeba jednak stwierdzić: polityka dra Benesza była całkowicie słuszna, celowa, korzystna dla Czechosłowacji i dla pokoju europejskiego — pod jednym wszakże warunkiem: że prawo i moralność, honor i wierność własnemu słowu będą zawsze wytycznymi polityki obu wielkich mocarstw demokratycznych. Jako prawdziwy mąż stanu, Edward Benesz nie był handlarzem i spekulantem politycznym. Narody i państwa, ich los i przyszłość nie były dla niego przedmiotem targów i gry giełdowej. Jeżeli robił błędy — a robił je, bo któż ich nie robi — to wypływały one właśnie z tej wiary że u steru polityki francuskiej i angielskiej będą zawsze stali prawdziwi, dalekowzroczni mężowie stanu, nie mizerni negocjanci lavalowskiego pokroju. I to był jedyny, jakże wielki zresztą błąd Edwarda Benesza — błąd, który grozi zawsze tylko ludziom uczci-

wym i mądrym, nigdy zaś chytrym lecz pozbawionym pionu moralnego czarnogiełdziarzom politycznym. Bo Benesz był prawnikiem i ideologiem — był politykiem, nie politykierem. Swoją miarą sądził innych i ufał im. Dlatego został zawiedziony. Wierzył, że piękna i głęboko etyczna, prawdziwie mądra zasada rzymskich pawodawców: **pacta sunt servanda** — umowy winny być przestrzegane — będzie broniona przede wszystkim przez tych, którzy w ciągu dwudziestu lat najgłośniej nią szermowali i którzy przecież w przestrzeganiu wersalskiego **pactum** najbardziej byli zainteresowani! Dlatego błąd Edwarda Benesza nie przynosi mu ujmy. Był to przecież błąd wszystkich prawych i wiernym swym zasadom ludzi na obu półkulach, wszystkich, nie wyłączając Roosevelta, dla którego przetarg monachijski okazał się taką samą niespodzianką, jak dla Benesza i całej demokracji europejskiej!

Zmowa monachijska postawiła prezydenta Czechosłowacji w położeniu dla niego i jego obozu naprawdę bezwyjściowym. „Czarno na białem" charakteryzuje tę sytuację w taki sposób: „Dlaczego Praga przyjęła dyktando monachijskie? Opowiadał o tym przez radio praskie były minister sprawiedliwości, socjalny demokrata dr Derer. Rząd praski znalazł się zupełnie opuszczony przez zachodnich sprzymierzeńców, bo jedynie Sowiety oświadczyły, że i w tej sytuacji gotowe są udzielić Czechosłowacji pełnego poparcia, a mianowicie: lotniczego natychmiast, w wojskach zaś lądowych w terminie od 3 do 6 tygodni. Rząd praski nie widział jednak możności przyjęcia tej pomocy, a to z dwóch przyczyn: 1) nie miał pewności, czy zdoła przez ten kilkutygodniowy okres wytrzymać napór przeważających sił niemieckich, 2) nie chciał, żeby republika czechosłowacka wystąpiła w obliczu całego świata jako przednia straż bolszewizmu, co było nieuniknione w razie korzystania z pomocy wyłącznie sowieckiej. Dlatego rząd praski zmuszony był przyjąć dyktando monachijskie. Również minister propagandy Vavreczka oświadczył: Sowiecka Rosja była gotowa wziąć udział w wojnie. Ale wojna w sojuszu z Sowietami — to nie tylko wojna z Niemcami. Europa, i to cała, w tej liczbie Francja i Anglia, oceniły by taką wojnę jako wojnę wypowiedzianą przez bolszewizm Europie. Być może, Europa złączyła by swe szeregi do wojny przeciwko Rosji i przeciwko nam... Anglia, Francja, Niemcy i Włochy obiecały nam gwarantować nasze granice. Ale my wiemy obecnie, jaką wartość mają podobne gwarancje. Po to, aby podpis gwarantów obowiązywał ich do czegoś, trzeba posiadać własną siłę".

Taka była sytuacja. I taka alternatywa stała przed Edwardem Beneszem i jego obozem: albo przyjąć pomoc sowiecką i walczyć przeciw wszystkim w sojuszu z Sowietami — albo skapitulować. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, dlaczego prezydent wybrał to drugie. Jeżeli bowiem nie było obiektywnej konieczności poddania się decyzjom monachijskim, to jednak dla niego, Edwarda Benesza, konieczność taka istniała subiektywnie, psychologicznie — i politycznie. Musiał skapitulować — bez uzyskania jakichkolwiek gwarancji, nawet tego, co mu narzucił monachijski dyrektoriat. Bo wbrew niesumiennej kampanii, prowadzonej przez prasę demagogiczną także i w Polsce, Benesz nie był i nie jest żadnym „bolszewikiem", ani nawet przyjacielem komunizmu. Oskarżenia te były ze strony międzynarodowego faszyzmu rzucane w celach najbardziej nieuczciwych, dla zmobilizowania przeciw Czechom opinii, nie mającej w warunkach cenzuralnych totalizmu żadnej możności dowiedzenia się prawdziwej prawdy. Benesz był tak daleki od komunizmu, że cofnął się przed samą ewentualnością przyjęcia pomocy sowieckiej bez francuskiej i angielskiej, co rzeczywiście wzmogło by w całym świecie kampanię, pomawiającą jego i jego kraj o bolszewizm. Zaprzeczył — jakże wysokim kosztem! — świadomie kłamliwym wersjom o bolszewickim prezydencie Czechosłowacji. Skapitulował i odszedł. Skończyła się rola polityczna jednego z czołowych przedstawicieli systemu wersalskiego, obrońcy pokoju i międzynarodowego porządku prawnego, męża, który w powojennej Europie do ostatka reprezentował pogwałconą i zdeptaną w Monachium zasadę: **prawo przed siłą** — zasadę, która traktatów i zobowiązań nie uważa za bezwartościowe świstki papieru, ale za rzeczywisty fundament pokojowego współżycia narodów. Depcąc tę zasadę „gruba czwórka" monachijska pogwałciła też inną, ściśle z nią związaną: **nic o nas bez nas.** A przecież i na tej zasadzie zbudowany był system polityczny Edwarda Benesza, który wierzył, że „zaprzyjaźnione" rządy demokratycznych mocarstw zachodnich przynajmniej zapytają go o zdanie w tak ciężkiej dla niego i jego ojczyzny decyzji! Zawiódł się i w tym. Nie jego historia za to potępi. I książka, której demokracja ma prawo oczekiwać od Edwarda Benesza, książka, której tytuł powinien brzmieć: **Jak zdradzono Republikę Czechosłowacką** — przełożona na wszystkie języki cywilizowane, napewno umożliwi historii wydanie surowego, bezlitośnie potępiającego wyroku na przeniewierców, a współczesnych pouczy, że jedynie skutecznym sposobem obrony wolności jest siła przeciw sile, prawo siłą poparte, siłą przez ludy wywalczone i obronione.

Tego nas uczy abdykacja prezydenta Edwarda Benesza.

POLITICUS.

ZAPROSZENIE

DR STANISŁAW WIĘCKOWSKI Z ŁODZI ZAPRASZA NINIEJSZYM DO ZAPRENUMEROWANIA „EPOKI" OSOBY NASTĘPUJĄCE: PP. KAZIMIERZA GALLASA, DR HENRYKA KRYSZKA, WANDĘ MALEWSKĄ, HELENĘ STERLINGOWĄ, PROF. DRA WINCENTEGO TOMASZEWICZA, DYR. WITOLDA WASZYŃSKIEGO.

DR HENRYK KRYSZEK Z ŁODZI ZAPRASZA: PP. DRA MIECZYSŁAWA KOCENA, DRA STEFANA KEILSONA, DRA FABIANA KLOSENBERGA, DRA WIKTORA MILLERA. P. HELENA STERLINGOWA ZAPRASZA DO ZAPRENUMEROWANIA „EPOKI" P. JERZEGO BERLINERBLAUA.

Międzynarodowy konkurs na powieść

Rada Książki, działając w ramach Międzynarodowego konkursu na powieść, organizowanego przez angielską agencję literacką James B. Pinker & Son (Arundel Street, Strand, London W. C. 2), ogłasza niniejszym konkurs na powieść polską na następujących warunkach:

1. W konkursie brać mogą udział tylko powieści nie publikowane jeszcze dotąd w żadnej formie.

2. Treść powieści i jej forma są pozostawione całkowicie do uznania autora.

3. Rękopis powinien obejmować conajmniej 60.000 wyrazów, powinien być napisany na maszynie jednostronnie, z podwójnym odstępem.

4. Rękopisy, oznaczone napisem „Międzynarodowy konkurs na powieść", powinny być dostarczone najpóźniej do dn. 15 grudnia br. pod adresem Rady Książki, Warszawa, Koszykowa 6a, m. 18; rękopisy mogą być zgłaszane pod pełnym nazwiskiem autora albo anonimowo, lecz w tym razie należy podać swoje nazwisko i adres w zamkniętej kopercie, opatrzonej takim samym godłem, jak rękopis.

5. Rękopisy nie odpowiadające ściśle niniejszym warunkom albo nadesłane po terminie nie będą brane pod uwagę.

6. Za dwie najlepsze powieści polskie będą przyznane nagrody; pierwsza w sumie złotych 1.000, druga w sumie złotych 500; dwie nagrodzone powieści podejmuje się wydać firma Książnica-Atlas na warunkach normalnych; książki te wydane będą najpóźniej w ciągu pół roku po ogłoszeniu wyniku konkursu. Gdyby żaden ze zgłoszonych rękopisów nie osiągnął poziomu, wymaganego na teren międzynarodowy, sąd konkursowy zastrzega sobie prawo przyznania tylko drugiej nagrody.

7. Jeżeli nagrodzone powieści stanowić będą część cyklu powieściowego, wymienionemu wydawnictwu przysługuje prawo pierwszeństwa do wydania dalszych części; autorzy powieści nagrodzonych są obowiązani do udzielenia wymienionemu wydawnictwu opcji na wydanie dwóch następnych swoich dzieł.

8. Książka, która uzyska pierwszą nagrodę na konkursie krajowym polskim, będzie przesłana na konkurs międzynarodowy w Londynie; decyzja sądu konkursowego będzie ogłoszona w trzy miesiące po zamknięciu konkursu; autorowi zwycięskiej powieści wypłacą zjednoczeni wydawcy zagraniczni, w ciągu siedmiu dni od ogłoszenia wyniku w dziennikach, udziały za wydania: amerykańskie, angielskie, czeskie, francuskie, holenderskie, niemieckie, polskie, szwedzkie, węgierskie i włoskie, co wynosi ok. 80.000 złotych polskich (w sumie powyższej mieści się też udział polski w wysokości 50 funtów angielskich, ufundowany przez firmę Książnica-Atlas).

9. Skład jury konkursu międzynarodowego: angielski krytyk i powieściopisarz — Frank Swinnerton (przewodniczący), delegat stowarzyszenia Literary Guild of America — John Beacroft, prezes Société de Gens de Lettres — Gaston Rageot.

10 Skład jury konkursu polskiego: pp. Kazimierz Czachowski, Zygmunt Łempicki, Jan Piątek, Leon Piwiński.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Nauczycielce w Poznaniu. Dosłowny tekst uchwały Centralnej Kom. Prac., piętnującej zbrodnię łódzką wydrukowany był w organie Unii Związków, wychodzącym w Warszawie p. n. „Ruch Pracowniczy" (Nr 51).

Panu H. G. w Łodzi. Projekt jest słuszny i życiowy. Ale Panu, jako inżynierowi chyba najlepiej wiadomo, że niedość jest zaprojektować i zbadać wytrzymałość materiałów budowlanych, ale że trzeba także mieć środki na zrealizowanie planu. A tych nie mamy w naszych kałamarzach i nie wytrząśniemy ich z naszych stalówek. Rzecz wymaga czasu i odpowiednich przygotowań.

Przyjacielowi w Łowiczu. O Józefie Nowickim pisaliśmy w Nr 27. Również obszernie wspomniał „Robotnik", w kilka dni po pogrzebie. Wdowa mieszka w Milanówku pod Warszawą.

Pani O. Z. w Radomiu. Źródłowy artykuł o Kongresie Dziecka znajdzie Pani w dzisiejszym numerze. Możemy uwagi Pani ze względu na ich wartość przekazać jednemu z bratnich organów. Prosimy o wiadomość.

Pani N. K. w Krakowie. Temat odpowiedni i pożądany, ale dopiero po zapoznaniu się z rękopisem będziemy mogli udzielić odpowiedzi. Za miłe słowa bardzo dziękujemy.

Panu St. K. w Częstochowie. Z materiału skorzystamy. Za pamięć i miłe słowa bardzo dziękujemy.

Do Przyjaciół i Prenumeratorów „E P O K I"

Niejednokrotnie wypowiadaliśmy zdanie, że współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą, ale także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają i rozpowszechniają. Dla dalszego powodzenia naszego pisma jest rzeczą niezbędną stałe jednanie nam nowych prenumeratorów, przez powiększanie bowiem ich kręgu wzmacnia się podstawa materialna „Epoki".

Jakkolwiek zasięg oddziaływania „Epoki" wzrósł znacznie od chwili jej wznowienia, jednakże ambicją redakcji zgodnie z wymaganiami chwili obecnej jest takie rozszerzanie i doskonalenie pisma, aby jako silne ognisko myśli mogło jeszcze skuteczniej przeciwstawiać się naporowi ciemnych i brutalnych sił.

W rękach więc przyjaciół „Epoki" spoczywają możliwości jej szybkiego i dalszego rozwoju. W tym przeświadczeniu niechaj nam wolno będzie odwołać się do naszych stałych Czytelników i prosić o zdobywanie nowych abonentów i o adresy osób, którym należy przesłać numery okazowe, osób, co do których można mieć uzasadnione domniemanie, iż przesłane numery przyjmą jako zachętę do zgłoszenia prenumeraty.

Odwołujemy się także do tych naszych Abonentów, którzy zalegają w opłacie prenumeraty, o jak najszybsze jej uregulowanie, gdyż zaległości te ciążą w sposób dotkliwy na budżecie pisma.

Wydawnictwo „Epoki"

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5347 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.